

W NUMERZE: Referendum na Środkowym Pomorzu — str. 4 • Opowieść o szkole — str. 1-4 • Skóry jak marzenie — str. 1-9 • Jaka jest słupska hodowla? — str. 5 • Zmierzch starych gazowni — str. 5 • Dzisiejsza Syberia — str. 6 • Na zapleczu sklepu — str. 9

zbliżenia

1987. 12. 03

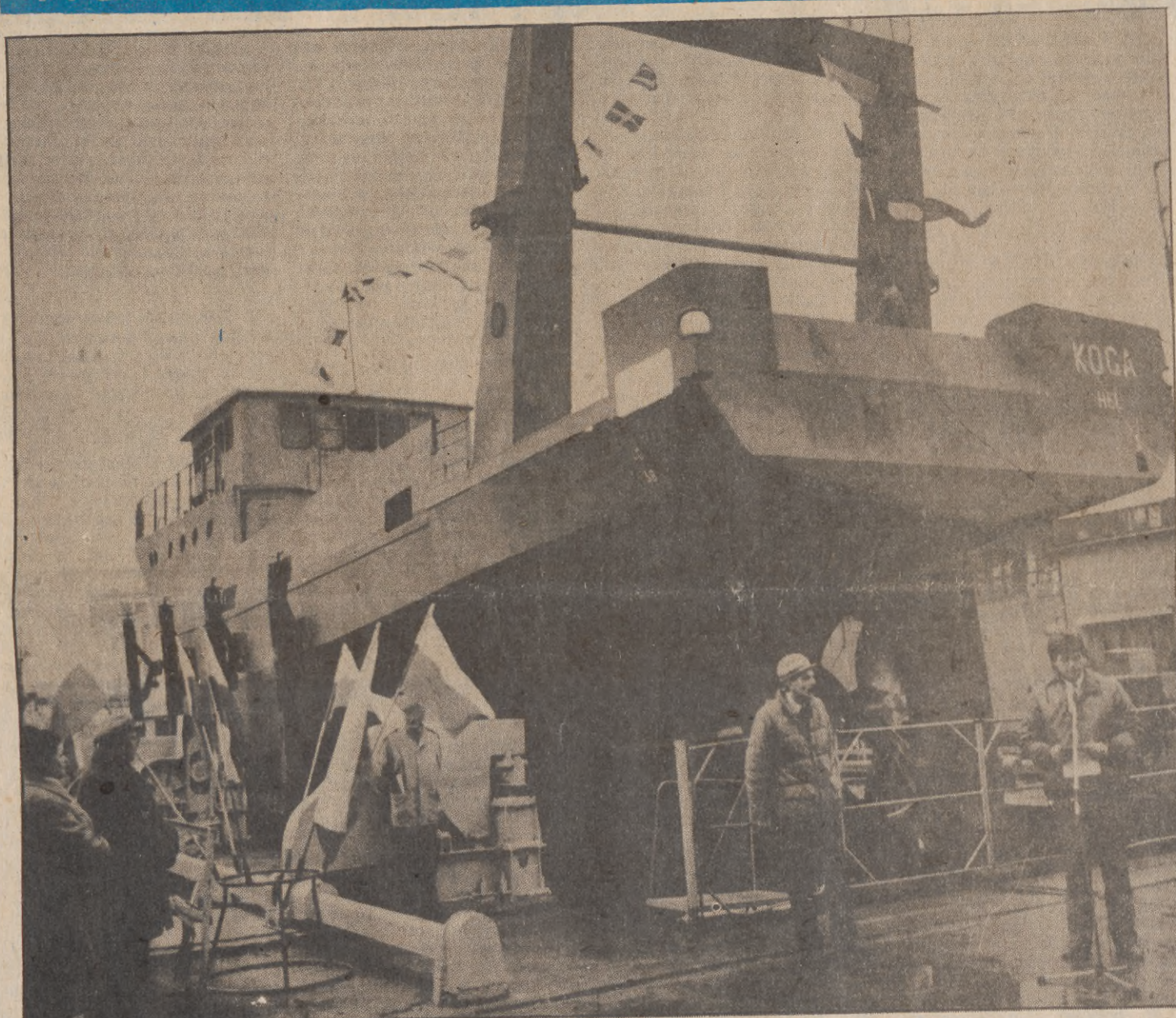
(408)

49

ROK IX

PL ISSN 138-0745 nr ind. 38397

TYGODNIK POMORZA • SŁUPSK KOSZALIN • PISMO PZPR • 20 ZŁ



Statki rybackie z Ustki są nieduże, ale wcale nie znaczy to, że łatwo je projektować i wykonywać. Każda kolejna seria była wynikiem wieloletniego trudu konstruktorów, inżynierów, techników, robotników wielu specjalności. Piętnastoletnie doświadczenia przy budowie stalowych jednostek procentują. W ub.

tygodniu stoczniovcy zwodowali dwusetny stalowy kadłub, jednocześnie pierwszy z serii B280, stalowych trawlerów nowego typu. Być może, iż statki te zdobędą rynek krajowy. (Relacja z tego wydarzenia w fotoreportażu na str. 8).

Fot.: JAN MAZIEJUK

Im się chce

TOMASZ ZIMMER

Jeśli o Miastku było w kraju głośno to zazwyczaj za sprawą Fabryki Rękawiczek i Odzieży Skórzanej. O tej fabryce napisano już sporo zachwalając gospodarność, wyniki ekonomiczne czy nieliczną, ale — o dziwo — bardzo sprawną administrację.

Co można jeszcze do tego dodać? Mnie na przykład od dłuższego czasu intrygował fakt, że gdy tylko gdzieś udało mi się zobaczyć ekstra model odzieży skórzanej — wywodził się on właśnie z Miastka. Jakoś nie mogłem uwierzyć, że z dala od odzieżowej Europy mogą powstawać rzeczy pod każdy, nawet najwybredniejszy gust. Kiedy zaś przeprowadziłem mini-sondę w sklepach z odzieżą skórzaną okazało się, że najbardziej poszukiwane są teraz ocieplane kurtki damskie w modnych fasonach i spodnice, wszystko oczywiście z Miastka. Raz nawet udało mi się trafić na „towa” w koszalińskim „Saturnie”. Nie zdążyłem mu się nawet przyrzec, gdyż kurtki po 25 i 50 tysięcy oraz spodniczki po 16 tys. zł w mgnieniu oka zniknęły w torbach kilkunastu uszczęśliwio-

nych niewiast. Od tego czasu co rano zbiera się w „Saturnie” grupa klientek, w nadziei, że znowu coś rzuci.

Wiedziony ciekawością — skąd ta popularność miasteczkich wyrobów — trafiłem do fabryki. Pierwsze kroki skierowałem oczywiście do źródła, a więc do wzorcowni, a tam... Na wieszakach, wzdłuż korytarza porozwieszane najróżniejsze modele i fasony skórzanycy cacek. Różnorodne kolory z „bajerami”, bez „bajerów”, długie i krótkie. Wszystko to chciało się mieć. Proszę sobie wyobrazić na przykład kostiumik z cienutkiej niebieskiej skórki, góra a la boi hotelowy, rozbudowane ramiona, obcisła talia, złote guziki, pagony i stójka. Do tego fikuśna krótka spódniczka, od bioder przechodząca w faldy. Cudo. Albo podobny kostiumik, tylko, że

z brązowej skóry, z taką dziwną czerwono nakrapianą fakturą jak z jakiegoś gada. Wszystkim paniom zaręczam — piękny. Albo... Właściwie cały artykuł mógłbym poświęcić na opis kolejnych modeli. Wspomnę może jeszcze tylko, że męskie ocieplane kurtki na wzór lotniczy chciałby mieć na pewno każdy młody człowiek.

Aż dziw bierze, że im się chce. Że przy znanej indolencji różnych zakładowych projektantów, którzy potem straszą nas wytworami swojej wyobraźni, potrafią w Miastku wprowadzić wyrób europejski.

Kierownik wzorcowni Antoni Wadrag szybko objaśnił mi tajniki. Najważniejszy jest eksport. On nakręca sprężynę, zmusza do operatywności i różnych pomysłów. Trzeba mało gadać a dużo robić — to credo kierow-

ka. RFN, Anglia, Holandia, Szwecja czy Francja czekają na ich wyroby. Ostatnio udało im się wejść właśnie na wymagający rynek francuski, o co od lat zabiegali. To spory sukces. Co najbardziej „idzie”? Spódnice w różnych fasonach, spodnie, przedłużane kurtki damskie, kurtki męskie, kamizelki. Mają masę pracy, bo trzeba przygotować kontrahentom specjalne wzory i kolekcje, czy to do katalogów wysyłkowych czy też na specjalne pokazy i targi. Do połowy grudnia trzeba przygotować dla odbiorcy z RFN kolekcję już na jesień — zimę przyszłego roku. Muszą się więc dopasować do przyszłorocznych gustów. Kierownik mówi jednak, że jeśli z pięciu modeli jeden zostanie zamówiony — to już jest dobrze. Po tym co zobaczyłem śmiem twierdzić, że „pójdzie” cała kolekcja. Sporo tej odzieży jest sprzedawanej ze znakiem firmowym Miastka, ale dużo pod markami znanych sieci handlowych jak Hertie, Quelle, C und A, Karstadt z RFN czy Susie z Francji.

Surowcem do tej produkcji jest skóra świnią. Jest to więc eksport bardzo opłacalny, bo surowiec jest krajowy. Wystarczy tylko dolożyć nieco ponad dolara do metra kwadratowego skóry na chemikalia z importu.

c.d. na str. 9

„Szkoła duża, ogromna, jasna. Uśmiech Pani. Ala ma kota, w zeszycie o kolorowej okładce, przerażone spojrzenie, jak wezwwanie ratunku. Ile to będzie 2 + 2? Dzwonek, hałas, ścisk. Idziemy poskakać, chcesz? Rozgardiasz, dziki tłum wielkich nieważnych ludzi. Proszę pani, on się bije. Skarżypyta. I mały człowiek, który dopiero co siedział u mamy na kolanach”.

Moja szkoła

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH

Dyrekcja, Rada Pedagogiczna i Młodzież Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. M. Kopernika w Ustce, mają zaszczyt zaprosić... Na uroczystość 25-lecia szkoły, która odbędzie się dn. 21 listopada 1987 r. w gmachu szkoły przy ul. Wróblewskiego 7.

17 lat temu: — Chodź chłopcze, usiądźmy na tym tam wzgórku. Takie słońce... Opowiedz jak ci poszły egzaminy. No, opowiedz, chłopcze.

— A tam, poszły...

— No, nie mów tak. Popatrz, trawa taka zielona, radosna... Nie martw się chłopcze. Przyjmą cię tutaj, na pewno przyjmą?

Kim był ten człowiek, który tak pocieszał? Pedagogiem, wychowawcą, działaczem, nauczycielem?

— No rebiata, kto mi powie jak zbudowany jest pomidor? No, kto odpowie, rebiata?

— Ja powiem, ja powiem! — wyrwał się Józek.

— To powiedz Józek, wszystkim ale ładnie odpowiedź. — Pomodoł, prose pana ma skółke i bzusek.

— Głupsi Józek, głupsi. Siadaj!

— Franek! Tak, do ciebie mówię. Skocz no do mojej spiżarni, ale tak na jednej nodze i przynieś sześć pomidorów. Ale duże wybierz. No, że cztery przynieś, z sześć...

Taki był tamten nauczyciel.

W nowej szkole:

— Jak wy piszecie, jak mówicie? Z jakich wy szkół przyszliście? Jak ja mam was uczyć, od czego zacząć? Kto was tu przysłał, sikorki wy moje, dzieci wystraszane, dzieci niedouczone?

Kazik, zrobiłeś dwadzieścia sześć błędów ortograficznych! Józek — osiemnaście! Anka — dwadzieścia! Grażyna — dwadzieścia! A styl u was jaki, mowa jaka, sikorki wy moje.

Sikorki te później: „Forma prowadzenia lekcji była bardzo ciekawa. Każdy mówił, co myślał. Choć nie zawsze było to rozumowanie słuszne, profesorka wysłuchiwała każdego. Uczyła przede wszyst-

kim szybkiego myślenia i wysuwania prawidłowych wniosków. Uczyła także poprawnego wypowiadania się. Nie było też na lekcji takiej chwili, żeby ktoś „spal”. Profesorka wykladała tak ciekawie, że każdy słuchał, z „rozdzianową gębą”. „Każda lekcja była inna, niż poprzednie, bogatsza w materiały, nagrania płytowe i magnetofonowe. Czekalam niecierpliwie na nią.”

Ta sama sala gimnastyczna, co przed 17 laty. Stare mury, stary parkiet, ale łśni. Drabinki przytwierdzone do ścian. (Wtedy zdziwienie: tyle drabin, i takie szerokie!) Harcerskie mundurki. Tak, ta szkoła zawsze harcerstwem stała. Ale myśmy byli w ZMS-ie. Chłopaki z „wiochy” do ZMS-u — wołali mieszcuchy. Czerwone legitymacje, czerwone krawaty. I tak już zostało. Zebrania? Przy książkach trzeba było ślepczyć, przy słownikach. Potem zdziwienie: Włodzimierz Lenin — kto to był Włodzimierz Lenin? Karol Maks czy Marks? Kto to był Karol Marks, Franki, Józki, Mietki, Jadźki? No, kto to był Karol Marks?

Grono pedagogiczne dostojne, odświętne:

— O, to pani profesor jeszcze tutaj? I pani profesor, i pani, i pan profesorze?...

— A pan, przepraszam, to u nas się uczył? Nie przypominam sobie. A jak nazwisko? Aaaaaaa. Nie poznałem. No, nie poznałem, tyle lat.

— A ja pana profesora poznałem...

Absolwenci. Janusz P. Nie zmienił się nic a nic.

Zawsze od góry do dołu same płatki. Prymusem był. Wzorem. Na apelu w pierwszym rzędzie. A my, Mietki, Józki, Franki w ostatnim rzędzie. Pod oknami, pod drabinkami, bo z dwójami. Sławek R. — dziś gospodarz uroczystości, też absolwent. Uczy polskiego, prowadzi grupę teatralną. Same sukcesy w kra-

c.d. na str. 4

FOTO zblizenia KOSZALIN



Z okazji Dni Honorowego Krwiodawstwa odbyło się w Koszalinie posiedzenie plenarne ZW PCK. Grono zasłużonych krwiodawców otrzymało wysokie odznaczenia państwowe. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczony został Bogdan Szumski (po lewej). Odznaczenia wręczał sekretarz KW PZPR Henryk Pacjan.



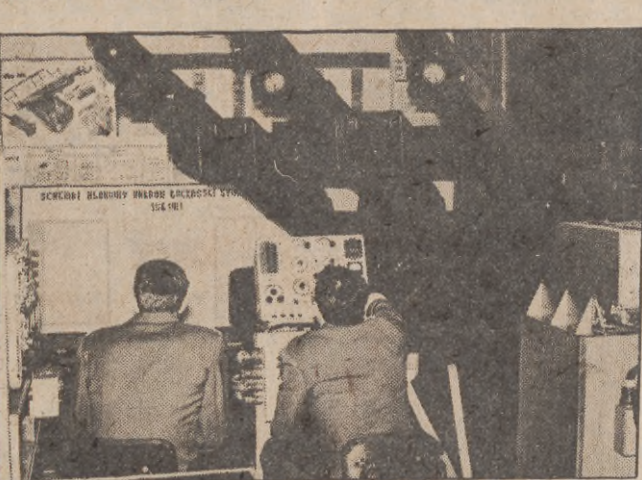
Drugi etap reformy jest nadal tematem wielu dyskusji. Niedawno o reformatorskich zamierzeniach rozmawiał ze studentami koszalińskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej sekretarz KW PZPR, Stanisław Bartoszewski.



Przed 10 laty rozpoczęła działalność w Koszalinie delegatura Krajowej Agencji Wydawniczej. Jej dorobek — to m.in. 79 tytułów, których autorami są pisarze z obu województw Pomorza Środkowego oraz 47 folderów, poświęconych turystycznym walorom regionu. Przewodniki dotyczące najbardziej atrakcyjnych turystycznie miejscowości wznawiane są co 3—4 lata.



W galerii „U” mieszczącej się w Urzędzie Wojewódzkim w Koszalinie, otwarto wystawę tkanin koszalinianki Bożeny Hanny Giedych. Na zdjęciu autorka (po prawej) w rozmowie ze zwiedzającymi wystawę.



29 listopada obchodzony był Dzień Podchorążego. W Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Obrony Przeciwlotniczej im. por. M. Kalinowskiego w Koszalinie kształcą się przyszli oficerowie dowódcy. W ciągu 4 lat nauki poznają tajniki obsługi nowoczesnego sprzętu bojowego.

Fot. JERZY SZYCH

ZE ŚWIATA

MINISTER spraw zagranicznych ZSRR Eduard Szewardnadze oraz sekretarz stanu USA George Shultz zawarli długo negocjowane porozumienie co do układu o eliminacji pocisków nuklearnych średniego i krótkiego zasięgu obu mocarstw. Nic nie stoi teraz na przeszkodzie spotkaniu przywódców obu mocarstw, Gorbaczowa i Reagana w celu podpisania układu. Wizyta Gorbaczowa w USA rozpocznie się 7 grudnia.

Z TRZYDNIOWĄ oficjalną wizytą państwową przebywał w Grecji przewodniczący Rady Państwa Wojciech Jaruzelski. „W toku wizyty odbyły się rozmowy między przewodniczącym Rady Państwa i premierem Andreasem Papandreu. W trakcie rozmów, które przebiegały w konstruktywnej atmosferze dokonano szczegółowej oceny sytuacji międzynarodowej jak również stanu i perspektyw stosunków dwustronnych” — informuje oficjalny komunikat.

NA SPOTKANIU w Brukseli ministrowie handlu zagranicznego krajów Beneluksu wyrazili zadowolenie z poprawy sto-

sunków między EWG i RWPG. Dzięki temu powstały warunki do zawarcia układów o wymianie handlowej lub współpracy gospodarczej między krajami zachodnioeuropejskimi i socjalistycznymi.

PODPISANY w Rzymie polsko-włoski protokół określający warunki, jakie rządy obu państw tworzyć będą dla skutecznej i prawidłowej realizacji kontraktu dotyczącego uruchomienia w FSM produkcji nowego samochodu małodłazowego — prasa włoska nazwała dodatkowym krokiem naprzód we współpracy obydwu przemysłów motoryzacyjnych. Prasa włoska podkreśla, że protokół przewiduje otwarcie nowych linii kredytowych dla Polski i że od początku przyszłego roku rozpoczyna się dostawy z Włoch odpowiednich maszyn i urządzeń potrzebnych w produkcji następcy Fiata 126p.

WICEPRZEWODNICZĄCY Państwowego Komitetu Cen ZSRR I. Ajwarow poinformował, że w ramach trwającej w ZSRR przebudowy gospodarczej zamierza się podnieść o 30

miliardów rubli państwowe ceny skupu produktów rolnych. W pięcioletce 1991—95 zniesiony będzie system podwójnych cen na środki produkcji. Zlikwidowane będą też wszelkie dotacje, ulgowe stawki i ceny na towary przemysłowe przeznaczone dla rolnictwa.

PRECYZUJĄC stanowisko Austrii w kwestii uchodźców politycznych, minister spraw wewnętrznych tego kraju Karl Blecha podkreślił, że żaden Polak z normalnym paszportem turystycznym nie może być uznany za uchodźcę w rozumieniu Konwencji Genewskiej. Wyowiedź ministra pozostaje w związku z planowanym od nowego roku wprowadzeniem bezwizowego ruchu turystycznego między Polską i Austrią.

W BULGARII opublikowano projekt zmian i uzupełnień do ordynacji wyborczej. Wprowadza on zasadę, zgodnie z którą można wysuwać, rozpatrywać i rejestrować nieograniczoną liczbę kandydatów na radnych rad narodowych, naczelników gmin miejskich i wiejskich oraz lokalnych organów władzy. Za

wybranego uważać się będzie kandydata, który uzyska najwięcej głosów.

OCZEKIWANY od wielu tygodni układ między Kongresem i Białym Domem w sprawie zmniejszenia deficytu USA nie przyniósł, mimo oczekiwań, poprawy na giełdach światowych. Na Dalekim Wschodzie oraz w Europie Zachodniej dolar nadal traci na wartości, czemu towarzyszy także lekki spadek notowań akcji przedsiębiorstw amerykańskich.

W BUDAPESZCIE odbyło się posiedzenie Komitetu Ministrów Obrony Państw — stron Układu Warszawskiego. W posiedzeniu uczestniczyli również delegacje wojskowe państw Układu.

PARLAMENT panamski zażądał od USA zlikwidowania baz wojskowych w strefie Kanału Panamskiego i opowiedział się przeciwko udzielaniu przedstawicielom sił zbrojnych USA zgody na wyjazd do Panamy. Zarzucono USA, iż przez „systematyczną agresję” dążą do obalenia obecnego rządu panamskiego.

Z KRAJU

W WARSZAWIE odbyła się pierwsza część obrad VI plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR. Obrady pod przewodnictwem I sekretarza KC PZPR, Wojciecha Jaruzelskiego, poświęcone są problemom socjalistycznej odnowy jako warunku przyspieszenia rozwoju Polski.

PRZEWODNICZĄCY Rady Państwa, Wojciech Jaruzelski otrzymał odpowiedź premiera Szwecji, Ingvara Carlsona na pismo wystosowane do przywódców państw „szóstki delhijskiej” w sprawie polskiego planu zmniejszenia zbrojeń i zwiększenia zaufania w Europie. Premier Szwecji w liście osobistym podkreśla rolę dokumentu konferencji sztokholmskiej w sprawie budowy zaufania i bezpieczeństwa oraz rozbrojenia w Europie a także potrzebę kontynuacji prac tej konferencji. Zaznacza też, że w tym kontekście uważa „proponicje przedstawione w memorandum rządu polskiego za szczególnie cenny wkład do dyskusji o sposobach osiągnięcia celów wytyczonych wspólnie przez wszystkich uczestników KBWE”.

WICEMINISTER finansów Andrzej Dorosz poinformował na konferencji prasowej, że zadłużenie Polski w walutach wymienialnych wynosiło w końcu grudnia ub. roku 33 527 mln dolarów, a w końcu br. osiągnęło — jak się szacuje — poziom 36 250 mln dolarów. Ten wzrost zadłużenia o prawie 3 miliardy dolarów jest po połowie, skutkiem spadku kursu dolara wobec innych walut zachodnioeuropejskich i rezultatem niepełnej obsługi długu przez nasz kraj.

Z WIZYTĄ oficjalną przebywał w naszym kraju minister spraw zagranicznych i handlu Australii, Bill Hayden. Jest to

rewizyta pobytu w październiku ub. roku w Australii polskiego ministra spraw zagranicznych. Mariana Orzechowskiego.

W WARSZAWIE zakończyło się międzynarodowe spotkanie uczestników ruchu „Generałów dla pokoju i rozbrojenia”, poświęcone sprecyzowaniu warunków uznania doktryn militarnych za ściśle obronne. W spotkaniu uczestniczyło 26 emerytowanych generałów i admirałów z 11 państw, zarówno Układu Warszawskiego, jak też NATO. Na zakończenie obrad zebrani jednomyślnie przyjęli komunikat, w którym stwierdzają, że są zgodni co do tego, iż sformułowanie doktryn militarnych w duchu pokoju i bezpieczeństwa, uznanie ich i sprowadzenie w życie do konieczności obronnych każdego z państw jest wyrazem nowego myślenia w sprawach militarnych.

MINISTER przemysłu wystąpił wobec grupy największych przedsiębiorstw zrzeszonych w tym pionie gospodarki z inicjatywą utworzenia fundacji wspomagania przemysłu farmaceutycznego. Podstawowym celem fundacji ma być działalność gospodarcza polegająca na organizowaniu i finansowaniu produkcji nowych leków.

DO KOŃCA października budowlani przekazali 82,7 tys. mieszkań — zaledwie 61,3 proc. tegorocznego planu. Mało. To już kolejny szósty rok z rzędu, kiedy budownictwo nie może przekroczyć zezarowanej granicy 140 tys. mieszkań. Lokatorzy narzekają na niską jakość oddawanych domów. Nie zawodzi tylko szybko rosnące koszty. Cena jednego metra kwadratowego sięgnęła w br. prawie 40 tys. zł, a w budownictwie zakładów pracy nawet 44 tys. zł.

NIEPRAWDOPODOBNE a jednak prawdziwe są nieoczeki-

wane kłopoty ze sprzedażą szkołom partii 500 nowoczesnych mikrokomputerów „ELWRO 800 junior” wyprodukowanych w listopadzie w Zakładach ELWRO we Wrocławiu. Pierwsza partia tych specjalnie przygotowanych dla szkolnictwa komputerów czeka w magazynach. Nowe Ministerstwo Edukacji Narodowej wprowadziło przedłużenie swego poprzednika — resortu oświaty i wychowania, ale nie podjęło decyzji czy mikrokomputery będą kupowane ze środków budżetowych ministerstwa.

PREZYDIUM Polskiej Akademii Nauk swoje ostatnie posiedzenie poświęciło zadaniom jakie stoją przed nauką w realizacji drugiego etapu reformy. W dyskusji zastanawiano się, jak poradzić sobie w nowej sytuacji społecznej ruch naukowy, któremu trzeba stworzyć warunki do samofinansowania, jak wykrzysłać możliwości powoływania jednostek badawczo-rozwojowych dla przekazywania badań praktykom. Prof. Jan Kaczmarek zauważył, że w programie zadań PAN niewiele mówi się o twórczości naukowej i o konieczności intelektualnego wsparcia procesów reformatorskich.

SENSACJA w toruńskich Zakładach Materiałów Opatrunkowych stało się wypłacenie jednemu z pracowników miliona złotych. Inż. Andrzej Sobolewski miał skreślić liczby w totalu zaczął myśleć i skonstruował polską maszynę do pakowania podpasiek higienicznych. Maszyna importowana kosztuje w przeliczeniu 40 mln zł a konstrukcję według projektu inż. Sobolewskiego wykonano w Toruniu za 6,5 mln zł. Jej zastosowanie pozwala na rezygnację z ręcznej pracy, wykorzystanie na opakowanie cieńszej folii i w rezultacie — daje firmie oszczędności rzędu 10,5 mln zł rocznie.

FABRYKA Samochodów Ciężarowych w Starachowicach rozpoczęła sprzedaż obligacji, aby w ten sposób poprawić sytuację ekonomiczną przedsiębiorstwa i zgromadzić środki niezbędne na uruchomienie produkcji nowej rodziny samochodów ciężarowych. Największym nabywcą papierów wartościowych FSC jest, jak dotąd, gwarectwo węgla, które zamówiło 1000 obligacji po 5 mln zł każda.

Z UDZIAŁEM tysięcy wiernych w Zuzeli (woj. łomżyński) — rodzinnej wsi kardynała Stefana Wyszyńskiego — odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika prymasa.

KRAJOWA Dyspozycja Gazem zaspokaja na razie wszystkie potrzeby odbiorców, czemu sprzyja utrzymująca się temperatura powyżej zera. Jeżeli nie będzie ona — średnio w ciągu doby niższa od minus pięciu stopni Celsjusza, wówczas problem również nie będzie. Pojawia się one przy temperaturach niższych. Mieszkańcy 5,2 mln gospodarstw domowych mających instalacje gazowe mogą spać spokojnie: ograniczenia w dostawach będą dotyczyły jedynie odbiorców przemysłowych.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ „Samopomoc Chłopska” zrzeszająca prawie 3,5 mln członków przygotowuje się do XI Krajowego Zjazdu zapowiedzianego na 7—9 grudnia br. „Reformę pojmujemy jako tworzenie warunków do umacniania samorządności spółdzielni, do rozwijania rentownej działalności gospodarczej, doskonalenia skupu i produkcji rynkowej oraz eliminowania tych działań i czynników, które nie wnoszą nic do poprawy obsługi wsi i jej zaopatrzenia — stwierdził prezes Zarządu Głównego CZSR, Jan Kamiński.

Z REGIONU

POD przewodnictwem Zygmunta Czarastego odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Słupsku, poświęcone zadaniom wojewódzkiej organizacji partyjnej w świetle aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w kraju i województwie. W obradach uczestniczyli też: Bogusław Kędzia, kierownik Wydziału Nauki, Oświaty i Postępu Naukowo-Technicznego KC PZPR oraz wiceminister sprawiedliwości Jan Brol.

GABRIELA Rembisz — zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR złożyła nieoczekiwaną wizytę w kołobrzeskiej „Barce”. W towarzyszyście sekretarza KW PZPR w Koszalinie Stanisława Bartoszewskiego zwiedziła hale przetwórstwa wstępnego ryb, magazyny, marynaciarnię i kilka innych obiektów przedsiębiorstwa, interesując się szczególnie warunkami i wynikami pracy załogi.

SZCZECINECKIE inwestycje komunalne wizytowali gospodarze województwa koszalińskiego: I sekretarz KW PZPR Eugeniusz Jakubaszek i wojewoda Jacek Czayka.

OBJAWY rynkowej paniki obserwuje się również w naszych sklepach. Zwiększył się wykup maki, cukru, kasz i w ogóle wszystkiego co ma jaką-

kolwiek wartość — także artykułów przemysłowych. Wzięcie mają nawet zwyczajne buble. Jeśli chodzi o artykuły żywnościowe, handlowcy obiecują, że nie ma powodów do niepokojów, są odpowiednie zapasy w magazynach. Kierownicy sklepów z artykułami przemysłowymi zacierają ręce. Skoro klienci wykupują nawet buble, tegoroczny plan obrotów będzie na pewno wykonany.

Z UDZIAŁEM sekretarza KW PZPR w Koszalinie, Zbigniewa Michy odbyło się doroczne spotkanie władz politycznych i administracyjnych województwa z młodymi ludźmi, którzy po ukończeniu służby wojskowej zwolnieni zostali do rezerwy. W toku dyskusji rezerwiści podnieśli wiele problemów, jakie nieświe powróci „do cywila”, zwłaszcza związanych z powrotem do poprzednich miejsc pracy.

POD HASŁEM „Chrześcijaństwo w procesie przemian społecznych” odbyło się w Sali Ryckiej Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku spotkanie licznej grupy chrześcijan różnych wyznań, inteligencji katolickiej oraz aktywu Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, obchodzącego obecnie trzydziście lat istnienia tej organizacji. W słupskim spotkaniu uczestniczył członek Rady Państwa prezes ChSS, Kazimierz Morawski. Jak wskazywano w dyskusji,

aby przemiany zachodzące w naszym kraju były skuteczne, niezbędny jest powszechny udział społeczeństwa.

TOWAR za towar — to zasada wymiany handlowej, jaką nawiązali słupscy handlowcy z przedsiębiorstwami w ZSRR. Słupskie WPHW wraz z WZSR podjęły współpracę z estońskimi miastem Tallin, zaś spółemowcy — z Mińskiem w Białoruskiej SRR. Pierwsza dostawa towarów z Tallina trafi do sklepów słupskich jeszcze przed świętami. Będą to przede wszystkim tkaniny: dekoracyjne, bawełniane, lniane, pościelowe oraz fryzury. Ocenia się, że wartość tej pierwszej dostawy wyniesie 12 mln zł. Wszystko to w zamian za poszukiwane w Estonii okulary słoneczne.

W SŁUPSKU i Koszalinie odbyły się wojewódzkie konferencje wyborcze ORMO. W Koszalińskim ORMO liczy 8,5 tys. członków, w Słupskim ponad 6 tysięcy. Organizacja ta również przechodzi proces wewnętrznej demokratyzacji. Jak dotąd wojewódzkie społeczne komitety ORMO powoływane były przez wojewodów, obecnie władze organizacji są wybieralne. W Koszalinie przewodniczącym 34-osobowego Wojewódzkiego Społecznego Komitetu ORMO wybrano sekretarza KW PZPR, Józefa Lewandowskiego, w

Słupsku Borysa Drobko, sekretarza KW PZPR.

KOLEJNA wpłata półtora miliona zł, pochodząca z dobrowolnego opodatkowania się przekazał słupscy rzemieślnicy na konto budowy szpitala wojewódzkiego.

ZEBRANIE sprawozdawczo-wyborcze Rady Wojewódzkiej Naczelnej Organizacji Technicznej, skupiającej w województwie słupskim 14 stowarzyszeń naukowo-technicznych a w nich ponad 6 tysięcy inżynierów i techników powierzyło ponownie obowiązki przewodniczenia Radzie Wojewódzkiej Markowi Piniańskiemu.

WDUNASTU zespołach adwokackich działających w obu województwach zarejestrowanych jest 60 adwokatów. Jest to liczba zbyt mała w stosunku do potrzeb ludności. Problemy adwokatury przedstawił na posiedzeniu Prezydium WK SD w Słupsku Leon Kasperski, dziekan słupsko-koszalińskiej Izby Adwokackiej.

TADEUSZ Czapliński znany słupski artysta metaloplastyk otrzymał z okazji 75 rocznicy urodzin list gratulacyjny przewodniczącego Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, Tadeusza Witolda Młynicza.

Mikołaju Święty!

JOLANTA NITKOWSKA

Muza poezji dość skrzętnie omijała moje progi a natura obdarzyła mnie ciężką ręką. „Wyprodukowałam” w swoim życiu dwa wiersze. Pierwszy powstał w dzieciństwie i... był szczery. Drugi wymusiły względy ambicjonalne. Serdeczna przyjaciółka, kilka miesięcy przed magisterką stwierdziła, że obracając się w środowisku wziętych literatów nie możemy grzeszyć beztalenciem. Każdej z nas iskry bożej starczyło raptem na jeden wers, postanowiłyśmy więc przy pomocy butelki czerwonego wina stworzyć wspólne „dzieło”.

Szanuję oczy czytelników, więc oszczędzę im widoku kooperacyjnej twórczości poetycznej. Duch wieszca pewnie stęknął ze zgrzyoty. Myślę, że nie lepiej się czuła także wtedy, gdy usłyszała moją dziecięcą prośbę do Mikołaja:

Mikołaju Święty! Przynieś nam pamięty.

Przynieś Joli śpiącą lalkę a Krzysiu przybijankę.

Dzisiaj już nie pamiętam, czy pisząc kiedyś te słowa miałam lat 9 czy 12? Z ręką na sercu mogę się jednak przysiąc, że w Mikołaja wierzyłam naprawdę, choć dziś nie potrafię wyjaśnić dlaczego list do Mikołaja wysłany został na adres babci Rozynki. Nie pamiętam też jakim sposobem trafił do szuflady mojej mamy.

Dzisiejsze pokolenie milusińskich nie dałoby się nabrać na historyjki, które dla mnie były najprawdziwsze. Sprawdziłam to w sporej grupie trzynastoletków ze szkoły podstawowej nr 6 w Słupsku. Szkoda, że żadne z dzieci już nie wierzy w Mikołaja! Jego istnienie traktuje się jako umowną konwencję, która dopuszcza zwierzenie się z marzeń, ale nie ponad to. Dzisiejszy

list do Mikołaja musiałabym napisać zupełnie inaczej niż to się pisywało w czasach mojego dzieciństwa.

„Wiem, że nie istniejesz — pisała sześcioklasistka — ale proszę Cię, przynieś mi w prezencie lalkę Barbi, klocki lego, komplet dzinsowy, worek modnych ubrań, video, kolorowy telewizor, komputer, motocykl Yamaha lub Honda, magnetofon Sony z kasetami albo wieżę ze sprzętem akustycznym. Załatw mi także Mikołaju, wyjazd za granicę. Najlepiej na wycieczkę do USA. Bardzo bym chciała tam pojechać z całą klasą, ale bez dwóch osób, które w naszej klasie są największymi skarżypytami.”

Cieszyłabym się bardzo, Kochany Mikołaju, gdyby w naszej szkole był basen i korty tenisowe. I żeby każda klasa miała swoje pomieszczenie.

Nasze miasto posiada wiele parków i trawników, ale dla nas — dzieci nie ma nigdzie miejsca. Spraw Mikołaju, żeby w mieście były dla nas place zabaw. Fajnie by było gdyby w Słupsku zain-

stalowano wesołe miasteczko z kolejkami, karuzelami, grami i niedużym zoo. W parkach mogłyby rosnąć drzewa z bananami, ananasami, pomarańczami, mandarynkami i orzechami kokosowymi. Chodziłoby się do parku i zrywało te smakołyki.

Chciałabym także zrobić przyjemność mamie i tacie. Moja mama życzy sobie służącą, ale nie proszę o nią, bo chyba w twój worek się nie zmieści. Dlatego dla mojej mamy proszę o robota, który by wszystko za nią robił. A ona byłaby mniej nerwowa, uśmiechnięta, wypoczęta, zadowolona.

Tacie też przynieś robota. Żeby chodził za tatą do pracy, zarabiał pieniądze i przynosił wszystko gotowe do domu. Marzę o tym, żeby w sklepach były buty na moje tatę, bo nigdzie ich kupić nie mogę. Chciałabym mu zrobić przyjemność i dać mu takie buty. Mój tato mówi, że po nowym roku będzie bieda. Chcę, żeby w sklepach było wszystko i wszyscy mogliby wydawać pieniądze na zakupy. Biednych nie powinno być!

Bardzo bym Cię też prosiła Mikołaju, zlikwiduj w Polsce al-

koholizm i palenie papierosów, bo przez to dużo dzieci jest nieszczęśliwych.

Tak sobie myślę, że niełatwo wybrać jedno, najważniejsze marzenie. Kochany Mikołaju! Już wiem — chcę mieć psa!!! Co prawda już go raz miałam, lecz gdy urodził się brat, kazano mi się go pozbyć. Mogłabym się wyzwać wszystkich prezentów na korzyść tego jednego. Małego pieska. Takiego, który by mnie kochał. Chodziłabym z nim na spacer, przytulała, całowała w nosek. On by mi nigdy nie powiedział, że nie ma dla mnie czasu. Wiele dzieci z mojej klasy ma pieski. Nie mogę słuchać jak sobie o nich opowiadają na przerwach, jak się cieszą. Ja nie mam nikogo bliskiego. Wiem, że to marzenie się nie spełni. Moja mama nie pozwoli na psa, bo w domu nie ma miejsca. Spraw Kochany Mikołaju, żebyśmy się nareszcie doczekali własnego mieszkania, w którym będę miała własny pokój i tapczanik. Na pewno zaczę się wtedy lepiej uczyć i mama przestanie się martwić, że nauka ciężko mi idzie.

Wiem Drogi Mikołaju, że nie tylko ja mam marzenia. Mają je wszyscy mieszkańcy ziemi. Dzieci i dorośli z Etiopii marzą o tym, żeby się najeść do syta. Ludzie żyjący na pustyni pragną wody. Chorzy chcieliby wyzdrowieć. Każdy człowiek o czymś marzy. Proszę Cię, spraw by wynaleziono lek przeciw żu, chorobom, wojnom i nieszczęściom.

Spraw także, żebym się dobrze uczyła z matematyki, bo z niej najgorzej stoję. Więcej mi nie trzeba!

Nie zwierzałam się ze swoich marzeń rodzicom, bo wysmiali by mnie. Poza tym boję się, że i tak moje marzenia nie zostałyby zrealizowane. Wolę napisać do Ciebie — Mikołaju, bo może akurat spełnisz moje prośby? Na wszelki wypadek w dniu Twojego święta zostawię otwarte okno, choć wiem, że Ciebie nie ma”.

Najważniejsze zadanie — umocnić POP

Komitet Wojewódzki PZPR w Słupsku na swoim piątym w tej kadencji posiedzeniu, omówił zadania wojewódzkiej organizacji partyjnej, wynikające z obecnej sytuacji społeczno-politycznej. Plenum, z udziałem zaproszonej grupy bezpartyjnych, podjęło się znalezienia odpowiedzi na pytanie, co należy uczynić by sprawy wiążące się z II etapem reformy gospodarczej znalazły się w centrum uwagi wszystkich ogniw partii, by wywiązały się ze swoich obowiązków.

Kwestie te ujęto w materiałach przygotowanych na posiedzenie, w referacie Egzekutywy KW, wygłoszonym przez sekretarza KW Borysa Drobkę. Mówili o nich liczni dyskutanci. Wątków dyskusji było sporo, bo i tematyka obrad tego wymagała. Mnie zainteresowały niektóre. Na przykład, sytuacja większych organizacji podstawowych.

Nie od dziś wiadomo, że wśród partyjnych ogniw one należą do najsłabszych. Mimo tej wiedzy, ciągle nie ma recepty na skuteczną kurację. Wiele organizacji partyjnych na wsi pracuje słabo, nie wykazuje tak potrzebnej inicjatywy, a w materiałach nie znalazłem pełnego wyjaśnienia, jak konkretnie zamierza się rozwiązać ten problem. Jest za to sformułowanie o „białych plamach” w szeregu wsi sołeckich i możliwości powołania POP w 28 takich wsiach. Mam nadzieję, że nie będzie to dodanie do słabych organizacji 28 kolejnych.

Sytuacja polityczna, w jakiej

się znajdujemy wymaga, aby wszystkie, bez wyjątku, organizacje partyjne były silne i samodzielne, zdolne do działalności bez czekania na decyzje ogólnopartyjne. Są jednak w Słupsku słabe POP. Jeżeli nie wiadomo kiedy i w jaki sposób nabiorą wymaganych cech, trzeba powiedzieć, że nie jesteśmy pod tym względem, w pełni przygotowani do realizacji nieszałobowych — jak akcentowano — zadań. Toteż wzmacnianie i usamodzielnianie POP musi być najważniejsze dla wszystkich towarzyszy pełniących partyjne funkcje.

Przykładów nowoczesnie pracujących organizacji nie brakuje, chociażby na Węzle PKP, czy w usteckiej stoczni, o czym mówili ich pierwsi sekretarze. Te dobrze pracujące nie narzekają na brak kandydatów do partii. To one sprawiają, że pod względem liczby przyjęć organizacja partyjna woj. słupskiego zajmuje pierwsze miejsce w kraju, że co ósmy dorosły mieszkaniec nosi czerwoną legitymację. Być może, że ci nowo wstępujący do partii, w większości młodzi, wniosą świeżość spojrzenia na wiele spraw, utrwala zasadę doprowadzenia rozpoczętych działań do końca.

Doprowadzenie spraw do końca, to podstawa wiarygodności partii. Jeszcze do niedawna było sporo zastrzeżeń na ten temat. Obecnie sytuacja jest inna i można mówić o wzrastającej partyjnej wiarygodności. Podkreślał to Bogdan Urban, I sekretarz

KZ przy Węzle PKP, podając przykład rozwijania potrzeb mieszkaniowych kolejarzy i budowy dworca. Wiarygodność musi się stać jedną z najważniejszych zasad w pracy organizacji i instancji. Szkoda, że jeszcze nie wszystkie o tym pamiętają.

Interesujący nurt dyskusji rozwinął się wokół problematyki prawnej, gdyż prawo, zwłaszcza w gospodarce, nie przystaje często do wymagań współczesności. Nie można wdrażać II etapu reformy gospodarczej bez reformowania prawa — niedobrego, bo rozdrobnionego na tysiące szczegółowych przepisów, eliminujących skutecznie samodzielność myślenia, odpowiedzialność. Podporządkowano tym przepisom każdą dziedzinę życia. Przepisy decydują i za dyrektora, i za księgowego. Urzędnik ma zakodowane w świadomości, że to czego nie ma w przepisie — jest nie do załatwienia. Bezpieczniej dla niego nie załatwić sprawy, niż podjąć decyzję bez „podkładki”, w postaci choćby rozporządzenia.

Poszło w Polskę i zdobyło popularność zawołanie, że co nie jest zabronione prawem, jest dozwolone. Stanowi ono pozytywne i optymistyczne przeciwieństwo nadal pokutującego poglądu, że co nie jest dozwolone prawem — jest zakazane. Jeżeli w końcu to zawołanie zdobędzie prawo obywatelstwa — a inaczej tego sobie nie wyobrażam — prawo z przeszkadzającego stanie się pomagającym. Bez takiego zasadniczego zwrotu nie będzie mowy o powrocie II etapu reformy.

O tym przeszkadzającym prawie mówiło kilku dyskutantów, wykazując bezsens licznych przepisów. Jednostki rolnictwa uspołecznionego, np. muszą płacić na fundusz postępu naukowo-technicznego PGR-y płacą na ten cel i dziwią się, że mimo płacenia — nie ma mądrego, który skonstruowałby porządną sortownicę do ziemniaków. Obowiązkowe ubezpieczenia zwierząt gospodarskich w PZU, nie pozostawiające właścicielom żadnej możliwości samodzielnej

decyzji, to inny przykład wiązania rąk.

Zbyt szczegółowe przepisy zawoocowały mnogością przeróżnych kontroli. Pisaliśmy już na naszych łamach o zespołach kontrolnych chodzących jeden za drugim, o kontrolowaniu tego samego zagadnienia przez kolejne kontrole, o ich sprzecznych ustaleniach, o traktowaniu kontrolowanych jako podejrzanym. Bez zmian w tym względzie, samodzielność nigdy nie utworzy sobie drogi.

W przyjętej na zakończenie obrad uchwały Komitet Wojewódzki zwrócił się do członków i kandydatów PZPR w województwie słupskim, by aktywnie uczestniczyli w zachodzących przemianach życia społeczno-gospodarczego i politycznego, by stanęli na czele dokonujących się przemian. Zalecił eliminowanie występujących słabości i niedociągnięć, stosowanie nowego stylu pracy partyjnej, a więc odchodzenie od schematycznych, rutynowych, nie przynoszących form i metod.

Na zakończenie trzeba odnotować ważny, z politycznego punktu widzenia, fakt: udział w obradach partyjnej instancji osób bezpartyjnych, w tym — byłych członków PZPR. Umożliwiono im zabranie głosu w trakcie dyskusji. Jednym z nich był nauczyciel akademicki WSP, Stanisław Lach, działacz byłej „Solidarności”. Choć jego wspólna droga z partią rozszła się przed kilku laty i mimo starań legitymacji nie odzyskał, warto zapoznać się z tym co dziś myśli o partii i jej linii politycznej. Utożsamia się on z programem odnowy, w gospodarce i w polityce. Dostrzega, co prawda, pewne niekonsekwencje, ale rozumie, że nowe przebiega się z trudem. To, że po raz pierwszy od siedmiu lat miał on możliwość publicznego wypowiedzenia się i to na takim forum, jest dowodem, iż pluralizm socjalistyczny staje się czymś rzeczywistym, za czym nie tylko członkom partii warto się o-powiedzieć.

JAROSŁAW DUCHNOWICZ

FOTO

zbliżenia

SŁUPSK



Przed rozpoczęciem obrad ostatniego plenum KW PZPR w Słupsku odbyło się wręczenie legitymacji kandydatkich 77 osobom. W grupie tej był Waldemar Dwulit, robotnik z „Famarolu” (po lewej). Legitymacje wręczał: kierownik Wydziału Nauki, Oświaty i Postępu Naukowo-Technicznego KC PZPR Bogusław Kędzia i I sekretarz KW PZPR Zygmunt Czarzasty (po prawej).



Działacze Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego obchodzili w tych dniach 20-lecie swej organizacji. Na uroczystość z tej okazji w Słupsku przybył prezes Zarządu Głównego ChSS, członek Rady Państwa Kazimierz Morawski, który wręczył honorową odznakę „Zasłużony dla ChSS” 6 działaczom. Wśród wyróżnionych odznaką jest klara Gierszewska (w środku); po lewej — Maria Karłowicz.



Państwowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Rolnej i Usług Technicznych w Nowej Wsi Leborskiej zebrało w tym roku obfite plony w dolinie Leby. Dopisała szczególnie cebula (wydajność około 400 q z ha). Obecnie cebula wysyłana jest do odbiorców, a zamówienia gwarantują pełny zbiór. Przed wysyłką musi być poddana obróbce (mechaniczne obcięcie szczyptu, sortowanie na sortownikach).



Giełde używanej odzieży zorganizowało Koło ZSMP przy Wojewódzkim Urzędzie Statystycznym w Słupsku. Można było znaleźć coś dla każdego w wieku od kilkunastu miesięcy do lat kilkudziesięciu. Odzież nie sprzedana zostanie przekazana rodzinom i osobom szczególnie potrzebującym pomocy.



Zakład Rolny w Milocicach uruchomił własną masarnię, która już wyrabia smaczną jałowców, krakowską, litewską, parówkę, a nawet szynkę i baleron. To zasługa pracowników, z brygadystą masarzy Krzysztofem Żurawikiem (po lewej). Jakość wędlin jest wysmienita. Przydziały i limity nie pozwalają jednak przekroczyć normy 500—600 kg wyrobów tygodniowo.

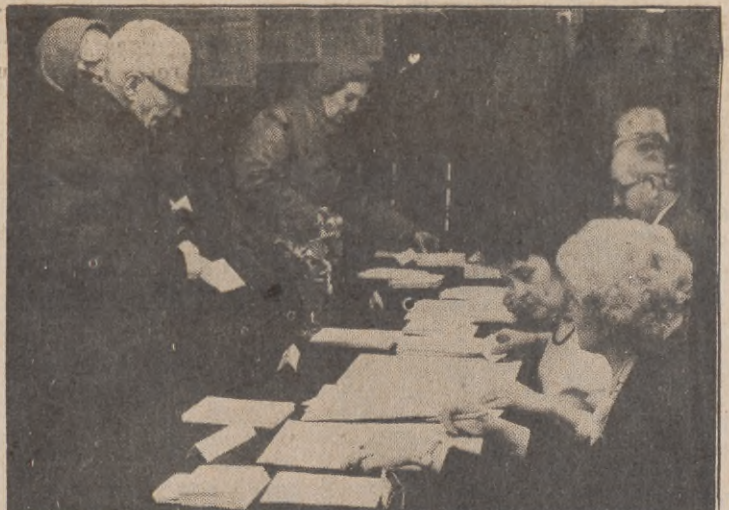
Fot. JAN MAZIEJUK



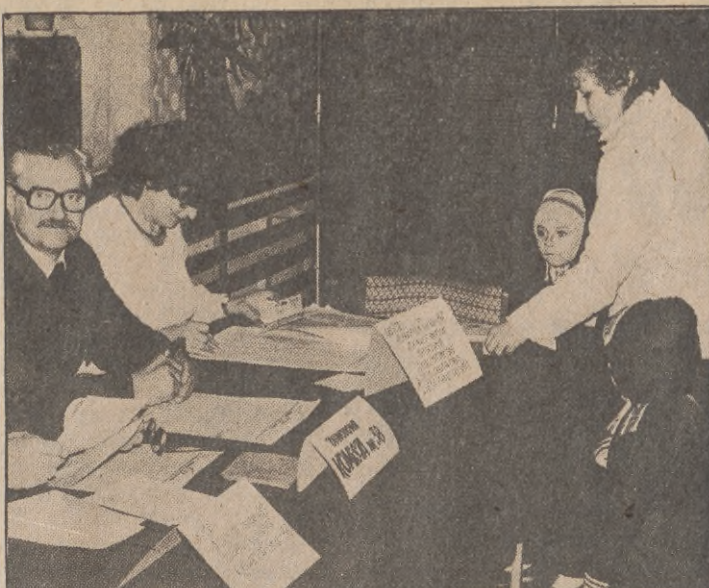
W obwodzie nr 2 w Kobylnicy swój głos oddał Andrzej Sarosiek, dla którego dzień referendum był pierwszym dniem pełnoletności.



W lokalu ds. referendum w Kobylnicy spotkać można było całe rodziny.



Tak głosowano w Słupsku.



Głosowanie w obwodowej komisji nr 38 w Koszalinie.



W referendum uczestniczą mieszkańcy Biesiekierza.



Jako pierwsza w obwodzie nr 29 w Koszalinie swój głos oddała Genowefa Jarosz.

Czas wyboru

Za nami Referendum, drugie w dziejach Polski Ludowej. Nie znamy jeszcze dzisiaj (poniedziałek) jego rezultatów w kraju ani na Pomorzu Środkowym. Pozostaje więc czekać jeszcze ten jeden dzień i — rozważyć jeszcze raz, co wyniknąć może dla przyszłości z tego politycznego wydarzenia tak ważnego dla Polski i Polaków.

Wydaje się, że Referendum pokazało — zgodnie z przewidywaniami socjologów i politologów — zróżnicowane podejście obywateli do polityki, rozumianej jako stosunek do rzeczywistości. Z tego co działo się w niedzielę, wysnuć można wnioski, w wielu punktach zgodne z doświadczeniem tych krajów, które znacznie częściej i dłużej stosują instytucję referendum.

„Czołówkę” polityczną społeczeństwa tworzą ludzie, którzy z różnych pobudek, bardzo często patriotycznych, bez ideologicznych uwarunkowań, uważają udział w takim akcie politycznym za swój obowiązek. Zaryzykować można pogląd, że są to ludzie przeważnie w starszym i średnim wieku. Wśród nich — renciści i emeryci, również ze „starego” portfela. Ludzie, którzy związali się z losem narodowym na dobre i na złe. Jak to można było usłyszeć w jednym z obwodów Słupska głosowali za tym — „żeby Polska wyszła wreszcie z długów”.

Mamy „czołówkę” na drugim biegunie — tych, którzy świadomie postanowili nie brać udziału w Referendum. Po to, by ograniczyć jego zasięg do minimum, a jeśli się uda — to nawet zniwelować jego skutki. Jest to — w sporej części — grono zwolenników politycznej opozycji skupionej wokół liderów b. „Solidarności”, którzy i tym razem nie zapomnieli o przygotowaniu odpowiedniej treści ulotek.

Mamy decydującą o wyniku największą grupę ludzi, którzy przyszli do lokali i oddali swoje głosy, bo z wynikami Referendum wiąże przyszłość swoją i swoich dzieci. To większość nas, odczuwających troski i codzienne kłopoty, pełnych niepokoju o przyszłość, ale też świadomych, że nie można przejść przez życie stojąc z boku w sytuacjach, gdy decyduje się coś ważnego. I znów, na przeciwnym biegunie, jawi się, wcale niemała, grupa ludzi, których jakoś trudno nazwać współobywatelami. Mają pretensje do praw, ale nie chcą uczestniczyć w obowiązkach. To ci, którzy z różnych pobudek, w małym stopniu politycznych, postanowili nie uczestniczyć w Referendum. Powody: czy ja mam jakiś wpływ na to, co będzie postanowione? Co mój głos znaczy? I tak zrobila, to co będą chcieli. Mnie polityka nie obchodzi. Bardziej odległa od takiej postawy jest inna — krańcowa obojętność, skojarzona z ignorancją: nie mnie to wszystko nie obchodzi, niczego nie chcę wiedzieć. Mam swoje własne sprawy.

Mimo wszystko — ci ludzie przez swą nieobecność również uprawiają jakąś politykę. Być może byłaby ona mało znacząca dla nas w innej sytuacji. Nie tym razem jednak. Gdy chodzi o Referendum w takich sprawach. Gdy akt o takim znaczeniu jest obrazem politycznego wychowania i kultury politycznej. Przecież 18-letni, którzy głosowali po raz pierwszy, będą już niedługo decydować w wyborach do rad narodowych, potem do Sejmu.

Przed nami jeszcze wiele takich decyzji. Oby to Referendum stało się kolejnym etapem poszerzenia kręgu władzy, współodpowiedzialności nas wszystkich za nasze wspólne sprawy.

SPOTKANIE PO LATACH

Moja szkoła

c.d. ze str. 1

ju, za granicą. Dziś też będą dawać występ. Klasa, zespół. Wtedy na Wczasowej mieszkał i my na Wczasowej. On do szkoły i my do szkoły. On taki wielki, wyrośnięty. A my tacy mali — karzelki. I w białych kołnierzykach, ciemnych mundurkach. W ogólniaku!

— No, ja bym nie chciała urazić, to ładnie, że oni... Ale sama pani rozumie, to już nie podstawówka, oni już nie muszą tak — dawała dyskretnie do zrozumienia wychowawczyni.

„Ala ma kota a kot ma Alę. Ktoś na ławce wyciął serce i podpisał głupiej Elce... Księżycu mój kochany!”

Zginał w bieli liść złoty, liść jesieni... Dylu, dylu na badylu... Panna z kawalerem, panna z kawalerem, pod szóstym numerem”.

„Puszek” — taki śmieszny? Prawie zawsze miał resztki jajka pod nosem. Kiedy nic nie umiał, jak się zawsze na lekcjach. — Dukasz i dukasz, boś się znowu nie nauczy! — powtarzał mu profesor. — Ale tyś wcale niegłupi chłopak, tylko leń jesteś, leń. „Puszek” leń! A Waldi to znowu oczy w podłogę ciągle

wlepiął. Mylił daty i mylił. A wojskowym został. „Zyga” — kapitanem. Piotrek — księdzem. A Wojtek Zagórski? Co robi Wojtek Zagórski? Nikt nie wie co robi Wojtek Zagórski...

Dyrektor: — 4 listopada 1962 r. inaugurowaliśmy uroczyste rok szkolny, był ładny słoneczny dzień. 5 listopada rozpoczęły się normalne zajęcia, lekcje. Dzień też był już normalny, chłodny, pochmurny, mokry. W jednym budynku mieścił się i ogólniak i podstawówka. Miał tu też początek Zespół Szkół Budowy Okrętów, Zespół Szkół Gastronomicznych...

Dziś też jest jeszcze podstawówka.

„Groźne szumi w Uście morze, ale huku w „trójce” nie przemoże” — napisał jeden z uczniów.

Dyrektor uczył nas geografii: — No to kto mi powie, kto mi powie, powie, gdzie leżą Rysy? No, no, no? Któregoś dnia wyzwa mnie do siebie do gabinetu: co ty tam narozrabiałeś, co — mów zaraz? Do Chorzowa cię wzywają, jakiś konkurs wygrałeś. No, no, gratuluję! Ale mów zaraz co to był za konkurs...?

Wszyscy nauczyciele po skończonej lekcji na przerwę przezwążnie zaraz biegli z dziennikiem do jednego pokoju.

A fizyk z chemikiem nie biegli. Tylko do swojej pakamery. I zawsze do tej pakamery. — Co ich tam tak ciągnie? Nie lubią gwaru czy co? A to ich ciekawość tam ciągnęła. Takie różne kabelki, tranzystory, układy scalone. — Co to takiego układy scalone, zastanawialiśmy się? A później buchnęła sensacyjna wiadomość: „Uczeń LO w Uście, taki a taki, za pomocą własnego, przez siebie skonstruowanego radiodiodniarki nawiązał kontakt z najdalej oddalonym zakątkiem świata”.

I wszyscy chcieli być radioamatorami.

Na jednej ze ścian wisiał portret Mikołaja Kopernika patrona szkoły. „Wstrzymał słońce ruszył ziemię, polskie go wydało plemię”. W 1973 r. na 500-lecie urodzin astronoma, w szkole wmurowano tablicę pamiątkową, poświęconą wielkiemu Polakowi. Ogłoszono też konkurs rysunkowy. Kazio G. całą kartkę zamalował na niebiesko. W górnym rogu umieścił tylko jedną maleńką, żółtą gwiazdeczkę.

— I ta gwiazdka ma symbolizować dzieło Kopernika? — dziwił się profesor?

— Nie, ta gwiazdka to ja w tej szkole — odpowiedział Kazio. — Pierwszy dostałem się z naszej wsi do ogólniaka. Może też coś zmienię?

Jadźka N. dojeżdża z W. — kawałek rowerem, kawałek autobusem. Zimą brnęła po kolana w zaspach. Uparta była. Do 1974 roku uczyła się przy świeczce, bo światła w domu nie mieli. Ale kto tam wiedział, że oni elektryczności nie mają? Zwykle przyjeżdżała wcześniej i ze szkolnego światła korzystała, w oknie wysiadyla. Uparta była Jadźka.

„Te same mury, dziedzińce i schody, i gwar na korytarzach i twarze, prawie jak przed laty. Ale przecież tu już inna młodzież poznaje prawa, które rządzą światem. Każdej jesieni młodzi przychodzą uczniowie, piętnastoletni, śmieszni, wszystkiego ciekawi, mają wiosenne cele i przyjaźnie nowe (a pierwsi maturzyści — lat czterdzieści prawie...). Po dwa stopnie do góry, bo mi czasu szkoda — i zastygam w tym ruchu nagłym niepokojem. Widzę, że jak ja dzisiaj po tych samych schodach ćwierć wieku temu szli rodzice moi... Czy oprócz podręczników nic się nie zmieniło przez lata, gdy marzenia odeszły dziecięce? Smutno mi — bo rozumiem, że wszystko już było, te same mury — ludzie tylko inni.”

Profesorka pokazuje gabinet komputerowy. Nowy, nowoczesny. Chłopcy, „wybijają” na monitorach różne zdania „Czas jak meteor nam umyka w szkole imienia Kopernika” — głosi jedno. — No, Janek pokaż co jeszcze potrafisz? — zachęca profesorka. Pokaż naszym gościom jak to działa? I Janek już przyciska nowe klawisze. A tamten Janek sprzed lat telewizor bał się włączyć. Wtedy był jeden czarnobiły. Dziś jest siedem, w tym cztery kolorowe. Biblioteka liczyła niecałe 3,5 tys. woluminów, dziś liczy przeszło 26 tysięcy. Stała bursza dla zamieszkowców, bo jeszcze jest ich tu wielu. Prawda taka: Gdy w Słupsku na Mickiewicza nie przyjął, i na Bieruta nie przyjął, to w Uście na Wróblewskiego przyjął. I dobrze, że tu przyjął!

Jestem jednym z tych 5369 absolwentów, którzy opuścili szkołę w ciągu 25 lat jej istnienia — chwali się głośno aktywista młodzieżowy. — Podstawówkę tu kończyłem.

— To pan się wpisze do naszej kroniki, pan się wpisze, prosimy bardzo, wołają sikoreczki — harcerczki.

Adam wpisuje się z dumą. — A pan? — patrzy w moją stronę. Uśmiecham się i szybko wertuję w pamięci kartki z prywatnego albumu, prywatnych wspomnień.

Pamiętasz, profesorko, jak wspinaliśmy się kiedyś do zamku w Niedzicy? Z góry schodziła

inna wycieczka, dzieci ze szkoły podstawowej. Pani, która szła z nimi, już z daleka uśmiechała się do Ciebie, a gdy podeszła blisko powiedział: „Dzień dobry, panie profesorze!” Nie mogłem sobie przypomnieć, kto to jest, a kiedy się przedstawiła, uśmiechnąłeś się, bo była to jedna z twoich dawnych uczennic. Dlaczego o tym piszę? Dlatego że marzę o takim dniu, kiedy ja pójdę ze swoimi wychowankami i zobaczysz ciebie, powiem, jak tamta pani: „Dzień dobry, panie profesorze!”

Znowu na wzgórze, tylko już trochę dalej, za szkołą bo na tamtym sprędy 17 lat bloki wyrosły. Ani śladu już po zielonej trawie. Zresztą listopad już, ziąb. Spadają ostatnie liście. Smutek, radość i żal. Jeszcze jedna chwila wspomnień, trochę może inna, niż tamte, bardziej gorzka. Bo są ludzie, którzy już odeszli i którzy będą musieli odejść. A my jacy po nich zostaniemy? Czy tacy sami dobrzy, uczynni? Czerwony autobus i znowu czas wracać. I dokąd tak pędzimy sikoreczki wy moje?

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH

PS. W publikacji wykorzystalem wiersze uczennic LO w Uście — Agnieszki Adamskiej z IIa i Izabeli Wawrowskiej z IVa oraz fragmenty wypowiedzi uczniów nadesłanych na konkurs pn. „Mój nauczyciel”, ogłoszony w 1973 r. przez redakcję tygodnika „Zarzewie”.

JAK PRACUJĄ SŁUPSKIE SŁUŻBY HODOWLANE

„Uzyskiwanie wydajności mleka jest wypadkową oddziaływania środowiska na wartość genetyczną krowy” — przeczytałem w materiałach Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa UW w Słupsku, poświęconych ocenie działalności służb inseminacyjnych i weterynaryjnych w kontekście postępu w chowie i hodowli zwierząt gospodarskich. „Im zwierzę jest bardziej doskonale genetycznie — wyjaśniają autorzy opracowania — tym trudniej jest mu nawiązać kontakt ze złym środowiskiem i w efekcie zamiast zwiększonej wydajności mleka może nastąpić jego spadek. Rodzące się potomstwo w masowej populacji po doskonałych ojcach, mimo dużej wartości hodowlanej, trafiając na niekorzystne warunki środowiskowe, nie może ujawnić swoich możliwości produkcyjnych...”.

Te warunki środowiskowe to krótko mówiąc obora w jakiej zwierzę przebywa, to pasza jaką jest karmione, człowiek, który się nim opiekuje. Dobra krowa, a więc taka, której możliwości produkcyjne są duże, ale na przykład karmiona źle lub nieodpowiednią paszą — próbuje prześledzić tok myślenia autorów opracowania — da mniej mleka, niż krowa zła lub gorsza produkcyjnie, też źle karmiona. Trudno bowiem przyzwyczaić się jej do złej paszy.

Po co o tym piszę i zaudam szczegółami i fachowcami czytelników? Ano po to, żeby pokazać, do czego dochodzi w żonglowaniu słowami, w usilnym wyjaśnianiu, a raczej powiedzialbym, tłumaczeniu się ze zbyt małego postępu w chowie i hodowli zwierząt gospodarskich, zwłaszcza bydła; ze zbyt niskiej jeszcze mleczności krow i w ogóle mniejszego zainteresowania rolników tą hodowlą. Przy czym chciałbym zaznaczyć, iż słowo „postęp” rozumieć szerzej, nie odnosząc go tylko do genetyki, lecz do całości hodowli.

W przedłożonych materiałach, będących także przedmiotem oceny Egzekutywy KW PZPR w Słupsku, wszystko ze w słupskiej hodowli bierze się przede wszystkim z „nieodpowiednich warunków środowiskowych”, jakie tworzy się zwierzętom. Gdyby były one optymalne, a co najmniej przyzwoite, można by — napisano — uzyskiwać dziś w Słupsku od jednej krowy nie ok. 3 tys. litrów mleka rocznie, jak do tej pory, tylko w granicach 4,5 tys. litrów. A więc już dziś można by średnią roczną wydajność mleka zwiększyć o 1000–1500 litrów od jednej sztuki. Tych sztuk jest w województwie jeszcze ok. 60 tysięcy a więc jest o co walczyć.

Czy ma to oznaczać, że służby inseminacyjne i hodowlane zrobiły już wszystko, a przynajmniej wiele i rzeczywiście — jak ocenia się je — przyczyniły się do uzyskania znacznego dziś postępu w produkcji mleka? W 1966 r. krowy w byłym woj. koszalińskim, obejmującym w znacznej części dzisiejsze słupskie, dawały średnio rocznie po 2,7 tys. l mleka o zawartości tłuszczu 3,4 proc. Po 20 latach w woj. słupskim wydajności te były następujące: 3,4 tys. litrów mleka i 3,8 proc. tłuszczu. Oczywiście, też się zgadzam, że prace hodowlane to proces żmudny, długofalowy, wymagający wieloletniego wysiłku i ścisłego reżimu w selekcji zwierząt. Ale czy te 700 litrów mleka od krowy więcej w 1986 r. i o 0,4 proc. tłuszczu to nie za mało na przeszło 20 lat pracy hodowlanej?

nych zapładnianych jest co roku buhajami — jeśli nie wątpliwie, to przynajmniej mało znanego pochodzenia, przypadkowymi. Wprawdzie nie mówi się o tym wprost w materiałach, ale jakość świadczonych usług inseminacyjnych jest bardzo niska, z roku na rok pogarsza się. Przede wszystkim nie wykonuje się ich terminowo. A to ma bezpośredni związek z długością tzw. okresu międzywielowego u krow: ten z kolei z niższą wydajnością. Okres ten systematycznie wydłuża się. Jeśli w 1978 r. wynosił 370 dni, dziś już 382. Były lata (1979 i 1982), kiedy przekroczył on 400 dni. Oznacza to, że mamy w stadach krowy, które w ciągu roku nie dadzą nawet jednego cielaka. Przez kilkadziesiąt dni w roku żyją niejako na kredyt, bo ich mleczność w tym czasie też spada i to znacznie.



Mamy w stadach krowy, które w roku nie dadzą nawet jednego cielaka.

Fot. JAN MAZIEJUK

ło mniej. Nie było im za ciężko pojechać na pastwisko do krowy. Nie wybrzydzały tak i nie narzekali jak dziś, a na pewno dużo mniej wtedy zarabiali. Dziś upominają się o samochody,

tych jest utajoną formą białaczki. W istniejącej sytuacji likwidacja tej choroby jest możliwa tylko przez stopniową eliminację krow chorych i kompletowanie jałowic zdrowych z izolowa-

wadniał tym, którym się dobrze pracować nie chce, że pracują źle, robią toksyczne kiszki trujące bydło, sieją to i owo nie na takich glebach, na jakich siał powinni. Ba, rozważa się nawet ostatnio celowość powołania w województwie weterynaryjnej inspekcji zdrowotnej pasz, która miałaby za zadanie, za dodatkowe pieniądze, pewnie gonąc do lepszej pracy wszystkich niechlujów i obiboków w pegeerowskich paszarniach mających przecież i tak jakieś tam swoje kontrole jakości.

Miejmy nadzieję jednak, że do utworzenia tej kolejnej efemerydy kontrolnej nie dojdzie.

Dreptanie w miejsku

którymi wiadomo, że na pastwisko na pewno nie dojadą! Dopominają się o telefony i czarują rolników, że będą na każde ich wezwanie. Tymczasem dziś nie mogą wypłacić obowiązkowego norazowego dziennego, „objęźdzenia” wsi.

Rolnicy twierdzą wprost, że inseminatorzy mają dziś za dobre. Na zbyt dużo się im zezwala, mało wymaga, a jeszcze mniej kontroluje. I to przede wszystkim musi się zmienić!

Pierwszego cielaka nasze krowy rodzą w 2,5 roku życia, a już w 6,5 roku (po urodzeniu zaledwie 4 cieląt) idą na rzeź. Są gminy w województwie, w których tzw. kontrolowany rozród w gospodarstwach indywidualnych sięga niespełna 50 proc. (np. w gminie Koczała). W wielu gminach zbliża się dopiero do 70 proc. W porównaniu do 1980 r. sytuacja pod tym względem w 1986 r. uległa dalszemu pogorszeniu. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie zawarta w materiałach Wydziału Rolnictwa UW wręcz szokuje. Okazuje się, że nie brakuje odpowiedniej jakości i ilości nasienia, nie brakuje buhajów, inseminatorów. Brakuje tylko — u waga! — samochodów dla inseminatorów. Samochody stały się w ostatnim czasie niezbędny — jak napisano — narzędziem pracy inseminatora. Inseminatorzy mają 64 samochody na 85 potrzebnych. Wreszcie — brakuje inseminatorom telefonów, a te, które są, psują się.

Godzi się więc przypomnieć, że jeszcze kilkanaście lat temu inseminatorzy jeździli do chłopskich zagrod motocyklami, trochę wcześniej rowerami jakoś byli na czas z usługą. Odbierano znacznie mniej skarg na nich. A zgłoszeń na usługi wcale nie by-

nego odchovu.

Oczywiście, główną przyczyną występowania większości chorób zwierząt, w tym niezwykle groźnej białaczki jest złe żywienie, zła pasza, złe warunki zoohigieniczne w oborach. Jednym słowem, środowisko stworzone przez człowieka. Jest to co najmniej dziwne i niezrozumiałe, bo ludziom, którzy pracują w hodowli i z niej żyją, powinno zależeć na wynikach. A im jakoś nie zależy! Ale dziwne jest też stwierdzenie, że „dziś konieczne jest konkretne realizowanie programu poprawy warunków higienicznych w pomieszczeniach i pielęgnacji młodego bydła”. Zdanie to formułują służby weterynaryjne, konkretnie Wojewódzki Zakład Weterynarii. A przecież to on odpowiedzialny jest za to, żeby w oborach było czysto i nie było chorób!

Cóż, nie umiemy sobie poradzić z problemami podstawowymi, zasadniczymi, ale stać nas na porywanie się na rzeczy wielkie. To chyba typowo polskie... Co druga krowa ma powikłania porodowe, nie potrafi się zporozić, nie może wycielić. Ale słupskie weterynaria zamiast zająć się dogłębnie tym problemem, zaangażowana jest w organizację w Bobrownikach Ośrodka Transferu Zarodków na skalę niemal światową. Ośrodek będzie udo-

Na tych dwóch tylko przykładach — działalności służb weterynaryjnych, Stacji Unasienniania i Hodowli Zwierząt w Sławnie starałem się pokazać i udowodnić jakie jest jeszcze podejście do ważnych i odpowiedzialnych zadań, jak niewiele zmieniło się w myśleniu i działaniu. I co się dziwi, że kuleje słupskie hodowla, jeśli kuleje też działalność dwóch podstawowych służb, od których bardzo wiele zależy. Jaki sens ma dyskusja tocząca się od tygodni na łamach „Głosu Pomorza” na temat bariery na słupskiej mlecznej drodze, spierania się posłów z red. W. Wiśniewskim o rozwiązania systemowe, jeżeli rzeczywiście mając ogromne zaplecze produkcyjne, jakim są nasze łaki i pastwiska (a to już bardzo dużo w hodowli) sami niewiele więcej robimy. Ot, po prostu rozgrzeszamy się nawzajem. Udaemy, że pracujemy, piszemy bałamutne sprawozdania, opracujemy programy a w gruncie rzeczy, drepczemy w tym samym miejscu. I jak długo jeszcze tak będzie?

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH

Więcej gazu

Niegdyś stanowiła niemal prawdziwe dobrodziejstwo dla Koszalina. Dziś mówi się, że dobrodziejstwem będzie jej całkowita rozbiora. Nie przystoi bowiem miastu młodemu posiadanie tak wątpliwej wartości zabytku, jakim jest stara gazownia pamiętająca ubiegły wiek. Ze starych kronik i dokumentów wynika, iż koszalińska gazownia w tym roku obchodzi dokładnie 100-lecie swego istnienia. I do końca nie wiadomo: cieszyć się z tego czy smucić.

Chociaż stara wytwórnia gazu ciągle służy jednej czwartej mieszkańców Koszalina, jednak wpisano ją na czarną listę zakładów na tyle uciążliwych dla środowiska, że jej dalszy byt staje się niemożliwy. Nawet wśród samych pracowników nie sposób znaleźć obrońców racji istnienia staruszki. Sentymenty — sentymentami, a życie — życiem. Choćby nawet inspektorzy ochrony środowiska zaczęli spoglądać na gazownie łaskawszym okiem to i tak węgły ekonomiczne nakazują zrezygnować z tak przestarzałej metody, jaką jest uzyskiwanie gazu z tzw. suchej destylacji węgla kamiennego. Złazacza, że niemal pod bokiem ma się złoza wysokokalorycznego gazu ziemnego. I tym m.in. trzeba tłumaczyć, że w ciągu ostatnich 12 lat w województwie koszalińskim zrezygnowano z klasycznej produkcji gazu w Szczecinku, potem w Kołobrzegu, Darłowie, Drawsku, Złocieniu i Czaplinku. Oprócz koszalińskiej, stara gazownia ostała się jedynie w Świdwinie.

Prawie na całym globie gazownie niemal zniknęły z krajobrazów miast. I na pewno nie jest powodem do dumy fakt, że w Europie z blisko stu obiektów tego typu, większość naliczyć można w Polsce. Jedynym krajem, w którym buduje się jeszcze nowe zakłady gazownicze są Chiny.

Chociaż ostatnimi czasy w zakładzie gazowniczym sporo uczyniono by nie był on już tak bardzo uciążliwy dla środowiska (m.in. stworzono zamknięte obiegi wody technologicznej i dzięki temu

zmniejszyła się do 100 tysięcy złotych kwota kar płaconych za zanieczyszczenie środowiska), jednak wyrok na gazownię już zapadł. Nie mogą uchylić go nawet dodatkowe korzyści: 13 tysięcy ton wytwarzanego tu koksu i blisko 900 ton smoły. Najdalej za dwadzieścia lat do klasycznym sposobie produkcji gazu w Koszalinie będzie można mówić wyłącznie w czasie przeszłym. To samo dotyczy gazowni w Świdwinie.

O tym, że lata starego zakładu są już policzone, wiadomo od dawna — mówi Roman Gromaszek — kierownik działu dyspozycji gazem w koszalińskim Zakładzie Gazowniczym. Z chwilą, gdy do Koszalina dociągnięto nitkę gazociągu dostarczającego gaz ziemny, rozpoczęła się dla naszej firmy niemal nowa era. Stara wytwórnia nie mogła już zaspokoić ciągle rosnących potrzeb odbiorców. Z czasem więc stała się jedynie dodatkiem uzupełniającym ogólny bilans potrzeb. A trzeba wiedzieć, że zakończona w latach sześćdziesiątych najważniejsza modernizacja zakładu pozwoliła na wytwarzanie 40 tys. metrów sześciennych gazu na dobę, gdy obecnie miasto przeciętnie każdego dnia zużywa już 120 tysięcy metrów sześciennych. Na dzień dzisiejszy jedynie centrum Koszalina skazane jest na korzystanie z gazu węglowego.

Stan ten potrwa do chwili oddania do użytku nowego gazociągu z okolic Karlina. Trwają już ostatnie przygotowania do rozpoczęcia jego budowy. Wymiany wymaga także dotychczas funkcjonująca sieć dystrybucji gazu węglowego. Rury żeliwne trzeba zastąpić stalowymi. W sumie przebudowy wymaga 20 kilometrów nitek przesyłowych. Gaz ziemny jest tzw. gazem suchym, powodującym szybkie uszkodzenia uszczelnień rur żeliwnych co w konsekwencji grozi częstymi awariami.

Kładąc na jedną szalę potrzeby mieszkańców, na drugiej możliwości ich zaspokajania, Koszalin znajduje się obecnie w bardzo dobrej sytuacji, w porównaniu z wieloma innymi miastami w kraju. Gazu nie brakuje nikomu. Do tego stwierdzenia jedynie tylko zastrzeżenia ma Kazimierz Grzegorzczuk — kierownik działu sieci w Zakładzie Gazowniczym w Koszalinie. — Gazu mamy pod dostat-

kiem, ale tylko na potrzeby komunalno-bytowe. Wielu mieszkańców skarży się, że nie wydajemy pozwoleń na wykorzystywanie gazu do ogrzewania budynków. I rzeczywiście, na taki luksus nie możemy sobie pozwolić, bowiem chętnych jest tylu, że już wkrótce wszystkich nękałby deficyt gazu. Pewien paradoks tkwi w tym, że zdolność wydobywcze kopalń gazu na Pomorzu Zachodnim i Środkowym wykorzystujemy w 60–70 procentach. Dlaczego więc ograniczenia? Ano dlatego, że przed wieloma laty projektanci gazociągów nie zakładali, że gaz ziemny będzie wykorzystywany do ogrzewania. Stąd też istniejące przekroje rur magistral gazowniczych pozwalają przesłać tylko tyle, by starczyło go do kucharek i bojlerów. Nieprawda jest więc twierdzenie, że pozbawiamy gazu niektórych odbiorców z powodu jego braku. Jeśli komunikować zakrećmy kurek, to tylko ze względów bezpieczeństwa. Spotyka się bowiem źle wykonane instalacje, nieprawidłowo zamontowane piecyki, niefachowe przeróbki. Wielu użytkowników nie zdaje sobie nawet sprawy, że samowolne przeniesienie np. bojlera gazowego z kuchni do łazienki, zmienia całkowicie warunki jego pracy i często stwarza realne zagrożenie wybuchu. W tym względzie nikt nie może liczyć na naszą pobłażliwość. Niewłaściwe obchodzenie się z gazem, jak dowodzi praktyka, może być wręcz tragiczne. Po wybuchach w Łodzi i kilku innych miastach trzeba dmuchać na zimne. Na szczęście w województwie koszalińskim do poważnych tragedii nie doszło. Zdarzają się niekiedy awarie, ale udaje się je usuwać.

Często pracownikom Zakładu Gazowniczego zadawane są pytania, czy aby zbyt pochopnie nie rezygnują ze starych gazowni. Przecież nie tak duże złoza gazu ziemnego w naszym regionie kiedyś się w końcu wyczerpią. Według opinii K. Grzegorzczuka, mieszkańcy województwa koszalińskiego mogą na razie być spokojni. Złoza wystarczy co najmniej do 2005 roku. Dotyczy to tylko już zlokalizowanych i udokumentowanych pokładów, a istniejące przecież duże prawdopodobieństwo, że zostaną odkryte nowe.

Na razie z dobrodziejstwa gazu przewodowego korzysta połowa mieszkańców województwa. Rozpoczęte niedawno przygotowania inwestycyjne stwarzają szanse przed końcem obecnego wieku dalszym 20–30 procentem. Ile konkretnie? Tego obecnie nie da się przewidzieć. Wiele bowiem można by miejsca poświęcić problemom, jakie nękać obecnie całą branżę. Brakuje przede wszystkim odpowiednich rur, sprzętu, fachowców. Wszystko to w sposób istotny opóźnia tempo rozwoju gazownictwa. Jeszcze wielu ludzi musi czekać na moment, w którym zabłyśnie mały niebieski płomyk...

JERZY SZYCH

Propozycję odbycia rekonesansowej podróży na Syberię przyjąłem ze zrozumiałym zainteresowaniem. Program przewidywał pobyt w Moskwie, Nowosybirsku, Irkucku i Bracku. Z atlasu wynika, że trasa osiągnie prawie 12,5 tysiąca kilometrów. Trzeba ją przebyć w ciągu 14 dni.

Moskwa spowita mgłą

Pierwszy etap podróży — z Koszalina do Warszawy i dalej, do Moskwy, odbywam pociągami. W grupie jest nas 28 osób, w tym 14 dziennikarzy. Współtowarzysze podróży z ironią spoglądają na mój kufaz i zimowe buty, dla których nie starczyło miejsca w walizce. Niech im tam: zobaczymy, kto się będzie śmiał w Irkucku...

Moskwa wita piękną pogodą. Ciepło i przez mgłę widać nawet słoneczny krążek. Jeszcze nie przewidujemy, że będziemy świadkami niecodziennego zjawiska atmosferycznego. Tak długotrwałego „tumanu” nie zanotowały kroniki meteorologiczne w okresie ostatnich 100 lat! 24 października „Prawda” pisała: Gdy w minioną



Moskwa

Pierwszy skok: 2860 km

niedzielę 18 października przed świtem zamknięto lotnisko Bykovo a w ciągu 2 godzin przestały przyjmować samoloty wszystkie inne lotniska stolicy, nikt nie przewidywał, że mgła nad Moskwą utrzyma się przez długich sześć dni i nocy. Przybywający w tym czasie na rozmowy do Moskwy sekretarz Stanu USA G. Shultz musiał lądować w Leningradzie i dalszą część podróży odbyć pociągami.

To samo spotkało sekretarza KC PZPR Józefa Baryłę, który lądował w Mińsku. Na lotniskach Moskwy koczowało ponad 15 tysięcy pasażerów. Ponad 50 tysięcy ludzi zwróciło bilety lotnicze wybierając podróż koleją. Wszystkie hotele Moskwy wypelnione do ostatniego miejsca. Z informacji naczelnika przewozów „Aeroflotu” dowiedzieliśmy się, że jego instytucja przez tę mgłę nad Moskwą poniosła straty w wysokości 2 milionów rubli.

Ministerstwo Lotnictwa Cywilnego poinformowało, że podejmowano próby przeciwdziałania mgle: rozpylano środki chemiczne, próbowano ją także zmrozić. Jednakże przyroda okazała się silniejsza — lotniska otwarto dopiero po sześciu dobach. Już w Nowosybirsku, przeczytałem w „Izwestiach” kaśliwy artykuł o pracy „Aeroflotu”, któremu autor zarzucał opóźnienia w wyposażeniu lotnisk w nowoczesne środki techniczne pozwalające na skuteczną walkę z „tumanem”.

Przed pierwszym skokiem

Zakłócenia w pracy lotnisk dotknęły także naszą grupę. Ze względu na zapelnione hotele wszystkie plany ustalane jeszcze w Warszawie zaczęły się komplikować. Ulokowano nas w hotelu „Słoneczny”, położonym poza Moskwą. Tam czekaliśmy na sygnał, by „migiem” pojechać na lotnisko Domodedowo. Czekaliśmy o 24 godziny dłużej niż przewidywał plan. Ten dodatkowy czas każdy spędzał według własnych zainteresowań. Wraz z Witoldem Szymczykiem z rzeszowskich „Nowin” odbyliśmy peregrynację po moskiewskich księgarniach w poszukiwaniu książek o II wojnie światowej (Witek) i o Syberii (ja). Rezultaty były raczej mizerne. Udało mi się jednak w „Sowieckoj knidze” kupić za 70 kopejek piątą tom periodyku „Pisarz i Syberia — twoja ziemia”, w którym Walentin Rasputin (ten od „Pożegnania z Matiorą”) zamieścił esej pt. „Moja i twoja Syberia”. Rasputin to „korennij” (rdzenny) Sybirak, a swój esej poświęcił rozważaniom o roli Syberii jako krainy w życiu radzieckiego państwa i w życiu współczesnego Rosjanina. Jest w tym utworze filozoficzna zaduma nad dotychczasowym stosunkiem do Syberii, jako głównego „spichrza” bogactw naturalnych; jest podział ludzi tam mieszkających na tych, dla których ta ziemia jest Ojczyzną i tych, dla których jest ona przemysłowym terenem, miejscem pracy. Syberia — pisze Rasputin — jak każda żywa ziemia odczuwa, z czym, z jakimi zamiarami przebywa tu każdy gość i w zależności od nich odpowiednio go spotyka.

Dla Rasputina Syberia to żywy organizm. A organizm to ogromny: 13 milionów kilometrów kwadratowych, gdy cała Europa to „tylko” dziesięć i pół miliona. Na syberyjskich przestrzeniach mieszka obecnie 25 milionów ludzi. Czy nam, mieszkańcom kraju, gdzie najdłuższa linia kolejowa zaledwie przekracza 800 km, a odległość od zachodniej do wschodniej granicy w najszerszym miejscu wynosi niecałe siedemset, uda się coś zrozumieć z krainy, gdzie zgodnie z syberyjskim powiedzonkiem „100 rubli to nie pieniądze, a 100 kilometrów to nie odległość”?

Czytam tego Rasputina z lekkiem. Czy uda się nam wyjść poza stereotypy? Ze Syberia to źródło potęgi Rosji (Lomonosow), że

Syberia to ziemia przeklęta przez pokolenia zesańców (Słowacki i cała nasza narodowa martyrologia), że Syberia to przyszłość technicznej cywilizacji ze względu na nieprzebrane zasoby surowców i energii (współcześni technokraci). Więc co to za kraina, ta Syberia?

W „salonie” TU-154 b

Lekturę i rozważania przerywa oczekiwana wiadomość: lecimy! Wprawdzie na lotnisku Domodedowo koczuje jeszcze kilka tysięcy chętnych do odlotu w kierunku na wschód, ale dla „inostranców” czyni się wyjątek, polecimy pierwszym samolotem udającym się do Nowosybirska. Przy okazji zaglądam do wydawanego na jubileusz 70-lecia przewoźnika pt. „1917—1987 lata pracy i zwycięstw” (autorzy: L. Umanski i S. Szaboldin) by zorientować się, że długość linii lotniczych Ministerstwa Lotnictwa Cywilnego ZSRR wynosiła w końcu 1986 roku milion i sto pięćnaście tysięcy kilometrów! Jest to długość pozwalająca opasać kulę ziemską na równiku prawie 20 razy!

W samolotach Aeroflotu pomieszczenia dla pasażerów nazywane są „salonami”. W naszym TU-154b są dwa salony. Sadowimy się w przednim, tuż za kabiną pilotów. Przed nami prawie 3 tysiące kilometrów, które pokonamy w ciągu 3,5 godziny. Wszakże gdy wylądujemy w Nowosybirsku okaże się, że od wylotu z Moskwy minęło 7,5 godziny! To taki trick ze zmianą stref czasowych: gdy w Moskwie jest godzina 12 — w Nowosybirsku już 16.

Obok mnie usadawia się dwóch Sybiraków. Lecą do Nowokuzniecka. W Moskwie czekali 5 dni i zabrali się pierwszym samolotem na wschód. To, że z Nowosybirska do Nowokuzniecka jest ponad 300 km w linii powietrznej wcale ich nie martwi.

— To już tak, jakbyśmy byli w domu — mówi Sasza i opowiada, że obaj są inżynierami górnictwa w „Kuzbassie” a ich kopalnia współpracuje z kopalnią węgla kamiennego w Zabrzu. Tylko nazwy tej kopalni nie może sobie przypomnieć, choć bardzo się stara. Zeby nie powtórzyła się sytuacja z opowiadania Czechowa „Kołnisko nazwisko” pytam Saszę o pierestrojkę w jego kopalni i dowiaduję się, że na razie jej najistotniejszym przejawem są: brygadowy system pracy oraz możliwość sprzedaży wydobyczonego ponad plan węgla nawet kontrahentom zagranicznym. Oczywiście, pieniądze za taki węgiel idą do podziału między załogę. Sasza wraca właśnie z Hiszpanii, gdzie prowadził rozmowy w sprawie sprzedaży syberyjskiego węgla nad Ebro. Przy okazji mówi, że koszty wydobycia węgla w Kuźnieckim Basenie Węglowym są znacznie, ale to znacznie niższe niż np. w Donbasie na Ukrainie. — Gdyby naszą tonę węgla zawięzić do Donbasu, to nawet doliczając koszty transportu będzie ona o połowę tańsza niż miejscowa — mówi mój rozmówca. Zaczynam rozumieć interes kopalni w przekraczaniu planu: przy takich kosztach wydobycia oplać się ponadplanowy węgiel sprzedawać za granicę, gdzie obowiązują ceny światowe...

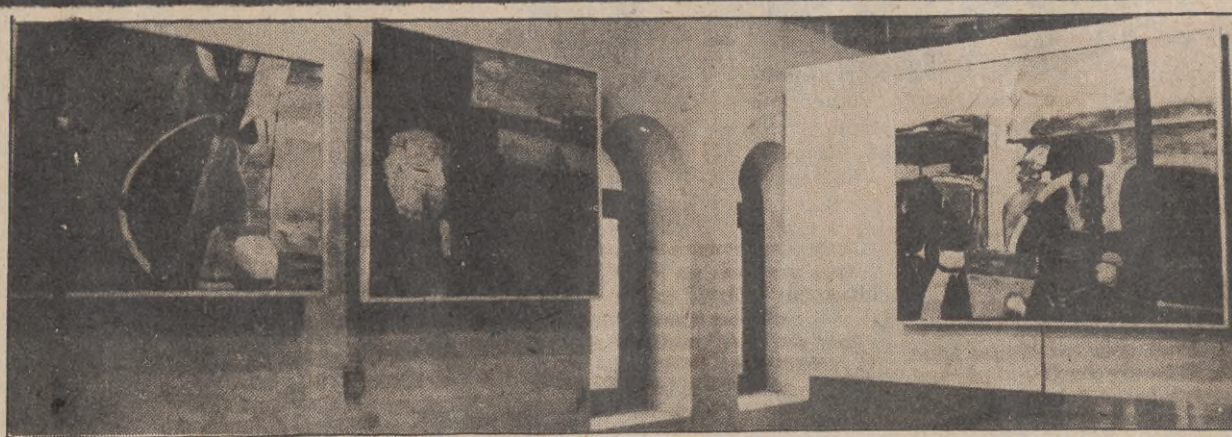
Granice między Europą i Azją przekraczamy w nocy na wysokości 10,5 kilometra. W dole jest warstwa chmur i mimo pilnego wpatrywania się w okno TU-154b nie widać żadnych światła. Od Uralu do Nowosybirska zostało nam jeszcze, bagatelka, 1350 kilometrów, czyli półtorej godziny lotu. (c.d.n.)

JAN URBANOWICZ

Fot. Jan Maziejuk

W Bałtyckiej Galerii Sztuki w Uście — nowa wystawa. Swoje malarstwo przedstawia Ryszard Patzer z Sopotu, znany miłośnikom sztuki w naszym regionie m.in. z wcześniejszej wystawy w słupskiej Baszcie Czarownic.

Fot. JAN MAZIEJUK



Nietypowe, w słupskich warunkach, a przyciągające uwagę formy reklamy stosuje Słupski Teatr Dramatyczny. W taki sposób studenci, zaangażowani przez teatr, zapraszali na przedstawienie „Laweczki” Aleksandra Gelmana.

Fot. JAN MAZIEJUK

Samochód Kowalskiego

Kiedyś, w latach „dobrobytu”, ktoś mądry w Polsce wymyślił, że jeśli Kowalski kupi sobie samochód i będzie nim jeździł do pracy, to Kowalska będzie również musiała mieć samochód, żeby zawieźć, na przykład, dziecko do szkoły, a w drodze powrotnej wstąpić jeszcze po włoszczyznę. Tak narodziła się idea produkowania popularnego „malucha”.

Niestety, czasy dobrobytu się skończyły — pozostał za to „maluch”, nie jest to wszakże samochód dla Kowalskiej. Jest to samochód dla Kowalskiego. Kowalska długie jeszcze lata będzie poruszała się pieszo i będzie osobiście dzwigała włoszczyznę — i nie tylko.

Mały samochodzik, który w założeniach miał być „drugim samochodem” w rodzinie Kowalskich, jest z konieczności samochodem jedynym, wyróżnionym i wymarzone, pierwszym i ostatnim.

Jeśli spotkacie na ulicy Kowalskich — on w paletku wiatrem podszycim, ona w futerku dwa razy już taprowanym, możecie być pewni, że ci właśnie Kowalscy z pewnością mają „malucha”. Być może nie mają automatycznej paliki czy porządną lodówkę, że już nie wspomnę o kolorowym telewizorze, ale już sam rzut oka na ich niezbyt dostatnią garderobę uprzytomni wam od razu: oni mają „samochód”. Każdy z pewnością zna takiego Kowalskiego. Ja też znam takiego. Znam też jego bezdomnego (a raczej bezgarażowego) „malucha”, bo mieszka on na parkingu dobrze widocznym z okien mojego pokoju.

Kowalski, o którym mowa, dorabiał się w następującej kolejności, ponieważ typowej: najpierw było dziecko (w drodze), potem żona, potem dalsze dzieci. Gdzieś tam po drodze — matura. Potem studia, następnie „stanowisko” — dość zresztą wysokie. Potem — mieszkanie. Któregoś zatem dnia, Kowalski zrobił sobie przerwę w dorabianiu się i rozejrzał dookoła. A co zobaczył? Ano — parking pełen samochodów, które to samochody były własnością facetów w najmniejszym stopniu (zdaniem Kowalskiego) nie zasługujących na coś takiego. — Jakże to — powiedział żonie. — Żebym to ja, na tak wysokim stanowisku, nie miał jeszcze samochodu? Żona próbowała coś tam napomknąć o pralce automatycznej (ona w końcu też ma stanowisko nie najgorsze, a pierwsze w „Frani”), ale Kowalski zbył ją krótko: i tak nie widać kto ma automat, a kto „Franię”... Za to widać doskonale, kto ma samochód, a kto chodzi pieszo. Żona — tak samo jak i mąż — zmęczona już była srodze tym niekończącym się „dorabianiem”. Przypomniała tylko mężowi, jak to sobie obiecywali, że skoro tylko dostaną mieszkanie, to nareszcie trochę się obkupią, żeby wyglądać jak ludzie. Na to Kowalski, że Kowalska i tak jest śliczna, bo zdobi ją młodość, a na ciuchy będzie miała czas, jak się zestarzeje. Stało się więc na tym, że trzeba kupić „malucha”, tym bardziej, że Kowalska szybko wyczerpała swoje „niepoważne” (zdaniem Kowalskiego) argumenty przeciwko temu zakupowi.

Od tej pory umysł Kowalskiego (rzecz jasna tylko po godzinach pracy) zaprzątnięty był pytaniem, gdzie i za ile kupić „malucha”. „Polmozyt” odpadał: wtedy, gdy ludzie uiszczali przedpłaty, Kowalski akurat dorabiał się czegoś innego. Pozostawała giełda. Tam znowu nowy samochód nie wchodził w grę, bo ceny idą już w miliony. Kupił więc Kowalski swoje wymarzone cacko, zapłacił za nie cenę dwóch kolorowych telewizorów i przyjechał do domu.

Z okna pokoju zauważyłam od razu nowego „lokatora” parking. Parking jest nieduży, nie więc dziwnego, że dobrze znam z widzenia wszystkich jego stałych mieszkańców (i stałych bywalców). Do tej pory na parkingu nie się nie działo. Ot, przyjechał ktoś, wysiadł, drzwiami trzasnął i poszedł. Ale teraz się zmieniło. Teraz, ilekroć wyjrzę oknem, widzę ich obu: Kowalskiego i jego „malucha”. Trudno mi powiedzieć, jaki jest stosunek „malucha” do Kowalskiego — wszak to tylko maszyna. Ale za to stosunek Kowalskiego do owej maszyny dla nikogo tajemnicą być nie może. Odnoszę wrażenie, że wszystko, czego Kowalski w życiu się dorobił (może prócz stanowiska), straciło dla niego sens. Liczy się teraz tylko to małe ciasne autko.

Samochódzik ten tym większy budzić może sentyment, że, tak na oko, należy chyba do protoplastów swojego gatunku, tak więc — maluchko, a będzie mógł zostać eksponatem w muzeum techniki. Karoserię rdza srodze już tu i ówdzie ponadgryzała, tapicerkę napoczęły mole. Ale za to ma drzwi, koła, kierownicę. I jeździ! I prawdopodobnie będzie jeszcze długo jeździł. Polska jest krajem długowiecznych samochodów. Znam osobiście pewnego Kowalskiego, który po dziś dzień jeździ syreną 101. W deszczową pogodę rodzina musi wkładać gumowce, ale co z tego? Jadą! Podczas gdy inni chodzą. To się liczy.

Pewien Włoch, Renzo Urbini, napisał: „Włoch traktuje swoją żonę, niestety, jak samochód, ale Niemiec, niestety, nie traktuje jej jak swego samochodu”.

Gdy tak patrzę z okna na parking, też przychodzą mi do głowy różne aforyzmy na temat żony, „malucha” i Kowalskiego. Mam wrażenie, że Kowalska z chęcią ustąpiłaby „maluchowi” swoją połowę wersalki, a sama przeniosła się na parking.

Kowalski ma już dość długo tę samą zabawkę, wciąż jednak nie może się nią nacieszyć. Przyjeżdża z pracy, wysiada, obchodzi naokoło. Tu ptasie gówienko zeskrobie, tam znów chuchnie, ręką przemierza, popatrzy, zafrasuje się. Drzwi pootwiera, bagażnik też, silnik — wszystko co możliwe. Ogląda, maca, sprawdza. Wykształcenie ma raczej humanistyczne — czy on coś tam z tego rozumie? Ale patrzy. Wzrokiem, jaki chciałaby czuć na sobie każda kobieta, nie tylko Kowalska.

Dni coraz krótsze, robi się coraz zimniej, a Kowalski furt przy samochodzie. W dni wolne od pracy, kiedy wybiera się z żoną i dziećmi na wieś do rodziny na południu, już od wczesnego ranka krząta się naokoło swego wehikułu, czyniąc przygotowania do podróży. Żaden samochód na parkingu nie jest tak dobrze traktowany i prawdopodobnie zazdrość je zżera, tak jak rdza zżera samochód Kowalskiego.

Być może pan, panie Kowalski, po przeczytaniu tego, będzie miał do mnie pretensje. Ale ja się potrafię wybronić. To nie tylko na pana ta satyra. I nie tylko na pański samochód.

Nie ma bowiem w Polsce ani jednego parkingu, na którym by nie stał „samochód Kowalskiego”. Jesteście siłą, panowie Kowalscy — wy i wasze samochody!

(TAC)



„My tylko układamy stos drewna i staramy się, żeby było ono suche, a gdy przyjdzie pora, stos się sam zapala — ku naszemu zdumieniu” napisał Goethe o narodzinach pomysłu artystycznego. Nie ma żadnej różnicy między genialnym pisarzem, awangardowym filozofem czy niedzielnym malarzem. Natchnienie czerpie swą siłę z właściwości psychicznych człowieka i okoliczności w jakich występuje. Twórca pomysł rodzi się w ciągu sekundy albo dojrzała latami. Jest tylko jedna regułka: jego narodziny zdarzają się tylko ludziom obdarzonym talentem i... pracowitością.

Jeżeli dobrze rozejrzemy się wokół znajdziemy wielu ludzi obdarzonych takimi cechami. Lata praktyki pozwalają mi także zaliczyć do nich sporą grupkę artystów-amatorów. Myślę, że dałoby się wykreślić jakąś, mniej więcej przeciętną, linię uzdolnień typową dla tego środowiska. Mieściłby się w niej także talent Leopolda Kuźnickiego. Przy tym, wielu swoich

kolegów przewyższyłby pracowitością i skrupulatnością w poznawaniu twórczości i technik warsztatu rzeźbiarskiego.

Dość samemu sobie coraz trudniejszych zadań wydaje mi się w naszej rzeczywistości społecznej tak ważne, że postanowiłam przyczynić się do artystycznego debiutu człowieka, który uczynił z nich zasadę własnego życia.

O dłoniach pracowitych

Dobrowolnie, świadomie i na prywatny użytek.

LEOPOLD KUŹNICKI był frezerem. Mikronowa dokładność — wizytówka tego zawodu — towarzyszyła mu także w remontowaniu mieszkań, ratowaniu zniszczonych sufitów, konstruowaniu mebli, malowaniu kompozycji olejnych i rzeźbieniu.

Rzeźbiarzem został przez przypadek — podglądając brata formującego drewniane korzenie. Wtedy właśnie zapaliła się w nim owa iskra, która kazała frezerowi sięgnąć po drewniany klocek i dłuto. Myślę, że mocno przesadziłabym pisząc o szybkim dojrzewaniu artystycznym. Oglądając wiele prac Leopolda Kuźnickiego nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że oto mam przed sobą dowody powolnego rozwoju samowiedzy domorosłego artysty.

Nie tak dawno nauczycielka w szkole zbesztala młodszego syna Kuźnickich za to, że usiłował jej wmówić historię o ojcu rzeźbiącym w drewnie. — Dąb nie nadaje się do rzeźbienia — stwierdziła nauczycielka. I pewnie miałaby rację, gdyby nie fakt, że Leopold Kuźnicki rzeczywiście wybrał sobie twórczo, od jakiego stromia wszyscy szanujący się twórcy neoludowi. Rzeźbi w najtwardszym z drzew. To, co powstaje pod jego palcami trzeba by chyba nazwać obrazami rzeźbiarskimi.

Powstają one w wielkich, debowych kłocach, w które były frezer, a obecnie rencista, wlebia się mozołnie przy pomocy niewielkich cięć. Dąb nie pozwala na odrywanie większych połaci drewna. Rzeźbienie przypomina skubanie drewna. Każdemu ruchowi dłuta musi towarzyszyć młotek.

Wszystkie rzeźbiarskie obrazy są najpierw starannie naszkicowane na papierze, potem miesiacami trwa ich urzeczywistnienie w drewnie lub kamieniu.

Jadwiga, żona pana Leopolda mówi, że gdy on zaczyna rzeźbić zapomina o całym świecie. Nie je, nie śpi, nie pamięta o rodzinie... Na rozłożonej na kuchennym stole oponie samochodowej wystukuje te swoje figurki (opona po to, by nocą nie denerwować sąsiadów hałasem). On sam mówi, że pewnie wystukiwałby nawet ze dwa dni, gdyby żona na to pozwoliła.

Jest coś sympatycznego w tej walce drobnego mężczyzny z niewdzięcznym tworzywem. Budzi ona w widzu szacunek dla wysiłku chorego przeciw człowiekowi. Na „warsztacie” znajduje się jednocześnie kilka prac. Bywają bowiem odkładane w trakcie rzeźbienia do nadejścia lepszych rozwiązań technicznych, ciekawszych efektów plastycznych. Czasem pomagają w tych poszukiwaniach książki. Z podręcznikiem anatomii nie rozstawał się Kuźnicki wiele miesięcy. Rozgrzyzał tajemki budowy mięśni ludzkich. Obserwował, w jakich sytuacjach poszczególne mięśnie pojawiają się lub giną. Badał charakterystyczne cechy mięśni twarzy, rozstawu oczu, kształtu brwi. Szkicował ciekawe nosy, uszy, podpatrzone na ulicy. Wydobywanie ich urody z drewnianego kłoca dawało mu poczucie całkowitej swobody i cichego szczęścia. Oto udaje się wykonać wymyśloną postać, ich ruch lub przeżycia. Z kłoca wylaniają się rysy, potem szczegóły. Drewno starannie się poleruje i konserwuje pastą do podłogi. Wszystkie prace mają lekki połysk wypucowanego drzewa.

Sredniowieczny drzeworyt przedstawiający sceny mąk piekielnych stał się źródłem inspiracji do cyklu prac nazwanego przez autora „Wędrowką przez piekło”. Spośród wielu rzeźb Kuźnickiego te wydają mi się najciekawsze. Mają w sobie klimat średniowiecznych obrazów z tańcami śmierci i moralitetów grozących straszliwymi mękami za zbrodnie doczesnego życia. Są w nich postaci diabłów, męczenników, skazańców, tchórzy i katów. Wszystkich łączy upiorna opowieść o cierpieniu. Na każdym obrazie inna, a jednak zawierająca te same elementy. Cykl „piekielnych obrazów” wyrósł z refleksji nad naturą zła. Dlatego przyciąga uwagę. Natomiast cykl prac prezentujących plażę naturystów niezbyt zachęca do oglądania. Zabrakło bowiem myśli przewodniej, przeżycia — powstały fotografie przeładowane szczegółami.

Piszę o tym nieudanym cyklu by pokazać, jak metodą prób i błędów rzeźbiarz-amator zdobywa samowiedzę. Leopold Kuźnicki nie ma za sobą ani jednej wystawy, nie znalazł dotąd zyczliwego doradcy, który nadałby właściwy kierunek jego rozwijającemu się talentowi. Chciałby raz na kilka miesięcy sprzedać jakąś rzeźbę, by dołożyć trochę grosza do chudego portfela rencisty. Nie chce jednak wpaść w szpony masówki cepeliowskiej, nie chce także sprzedawać swoich prac bez legalnego przyzwolenia. A o to przyzwolenie w Słupsku najtrudniej. Nie wiadomo bowiem, gdzie go szukać. Rzeźbiarzem amatorom nie daje się żadnych stypendiów twórczych. Sądzę, że w przypadku Leopolda Kuźnickiego takie przedsięwzięcie mogłoby być pożyteczne, ponieważ pracowitość, konsekwencja i upór, z jakimi posuwa się on ciągle do przodu zasługują na nobilitację. Może odnajdą się prawdziwi mecenasowie, popierający twórczą aktywność robotników, którym może nie wystarczy od razu się udaje, ale szukają własnej drogi w labiryncie zwanym sztuką.

JOLANTA NITKOWSKA

Na zdjęciu: Leopold Kuźnicki z fragmentami cyklu „Wędrowki po piekło”

Fot. Jan Maziejuk

W półzblizeniu

● Dużym wydarzeniem teatralnym stała się premiera sztuki Władysława Terleckiego „Krótka noc” (Teatr Kameralny — Warszawa), opowiadającej o śmierci 22-letniego naczelnika miasta Warszawy Stefana Bobrowskiego (akcja dzieje się w czasie powstania styczniowego — 1863), na którym to dokonano mordu kapturowego. W rolach głównych Andrzej Łapicki i Tomasz Budyta.

● POGLĄDY! Stanisław Kwiatkowski w 10 numerze „Zdania”: „Stopień aktywności społecznej jest dziś mimo wszystko większy niż kiedyś. Dlatego władza mówi, że rządzi się trudniej. Ale tym samym łatwiej, bo popełnia się mniej błędów”.

Wicepremier Z. Sadowski: „Kultura nie może być tylko skomercjalizowana. Ma sponsora — jest nim państwo, ale mogą istnieć i powstawać inne ogniska mecenatu (samorządy, przedsiębiorstwa)”.

● Nareszcie powstał w Słupsku Dyskusyjny Klub Filmowy. Ciekawe, czy ta propozycja Młodzieżowego Centrum Kultury spotka się z zainteresowaniem młodzieży wychowywanej przez ostatnie lata na przynoszącym przede wszystkim wyniki finansowe repertuarze kin Milenium i Polonia.

● Zbigniew Nienacki nadal w natarciu! W tygodniku „Kultura” drukuje swą nową powieść „Dagome iudex”, której fragment o karlicy Milce świadczy o wierności erotycznym zainteresowaniom pisarza: „... twarz miała piękną, o jasnych włosach wijących się w pukle, piersi jedne i duże, zgrabna sylwetka. Jak gdyby na przekór swemu wzrostowi pożądała mężczyzny tylko o bardzo wielkich członkach, tak naprawdę każdy był dla niej za mały, dlatego w specjalnej stajni trzymała czarne go konia, z którym tajemnie zażywała rozkoszy”.

● Gablota Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego zdajdająca się w przejściu podziemnym została okradzona z kobiecych aktów. Czyżby były to pierwsze skutki wpływu powieści Nienackiego na emocje i namietność męskiej młodzieży?

● Na półce „Zbliżeń”: powieść Jacka Indelaka „Światowstręt”, której akcją dzieje się w okresie stanu wojennego na wyspie odciętej od reszty kraju. Nie jest to arcydzieło, warto jednak poznać różne zachowania bohaterów książki wobec tych samych wydarzeń i problemów.

● Zdanie tygodnia! Andrzej Mielczko o opiniach w telewizji: „Zgadza się jedynie z opinią zająca Poziomki, że należy codziennie myć zęby”.

● Wszystkim Barbarom z imiennymi życzeniami taki oto wierszyk: Ze kobieta z kości swój początek bierze, Mocno temu wierzę; Bo i Basia swoją złością Stanęła mi w gardle kością.

Lęborski konkurs

LĘBORK staje się znaczącym ośrodkiem życia literackiego kraju. Przed dwoma laty podczas obchodów 700-lecia miasta zrodziła się skromna inicjatywa zorganizowania konkursu literackiego im. Mieczysława Stryjewskiego, tematycznie nawiązującego do przeszłości i teraźniejszości miasta i Ziemi Lęborskiej. Konkurs nie uzyskał wtedy szerszego zainteresowania wśród pisarzy, ale mimo to w jego plonie znalazło się kilka dobrych, związanych z regionem wierszy. Konkurs pobudził do pisania przede wszystkim twórców mieszkających w Lęborku i województwie śląskim. Byli to ludzie różnych zawodów i zainteresowań: uczniowie szkół, nauczyciele, pracownicy fizyczni i umysłowi, duchowni. Plon konkursu omawiany był nie tylko w prasie lokalnej, lecz również krajowej. „Słowo Powszechne” napisało wprost: „Konkurs był pierwszym znaczącym wydarzeniem kulturalnym w powojennej historii miasta”. Być może autor artykułu nieco przesadził, tym niemniej jego słowa okazały się prorocze. Inicjatywę zaakceptowało środowisko twórców i społeczeństwo, organizatorzy postanowili konkurs im. Mieczysława Stryjewskiego kontynuować co dwa lata.

Drugi konkurs zorganizowano w roku bieżącym; został on poszerzony tematycznie, obejmując szeroko pojętą problematykę pomorską. Zainteresowanie konkursem wzrosło: wiersze, opowiadania, reportaże, wspomnienia nadesłano niemal ze wszystkich regionów Polski, od Szczecina po Lublin i od Gdańska po Wrocław i Rzeszów. Wzięli też udział miejscowi twórcy.

Świadczy to, że pod względem zasięgu geograficznego konkurs uzyskał rangę ogólnopolskiego. Niestety, poziom artystyczny i poznawczy nadesłanych prac nie osiągnął jeszcze szczytów. Szczególnie dotyczy to prozy. Większość reportaży, opowiadań, wspomnień jest zwykłą relacją, opartą jeżeli nie na mate-

riałach zaczerpniętych z podręczników historii lub folderów, to stanowiących bezpośredni opis dzieł współczesności bez próby pogłębienia i skomentowania podjętej tematyki. Nadesłane utwory w większości są płytkie, niewiele wnoszące do skarbnicy kultury polskiej. A przecież proponowana tematyka, zwłaszcza problem Kaszubów i Ziemi Kaszubskiej, aż się prosi o szersze i głębsze opracowanie. Na obronę autorów można powiedzieć jedno: wysokość proponowanych nagród nie zachęcała do wysiłku, szperania w starych archiwach, wędrowania po ziemi, która przechowuje jeszcze wiele ciekawych zabytków i legend. Oczywiście usprawiedliwienie to można podważyć twierdzeniem, iż ambitny autor nie pisze dla nagród. Bądźmy jednak do brej myśli: nie od razu Kraków zbudowano. W przyszłości — jeżeli będzie kontynuacja — z pewnością znajdzie się ktoś, kto potraktuje konkurs poważnie, nie tylko jako sposób zdobywania nagród.

W dziale poezji poziom nadesłanych utworów jest znacznie wyższy, choć rewelacji również nie ma. Ale wiąże się to już z problemem szerszym, obejmującym dziś wszystkie środowiska twórcze. Życie literackie przeżywa swoisty kryzys. Nie tworzą się — jak bywało dawniej — grupy artystyczne, kluby i kawiarnie, nie ogłasza się manifestów problemowych. Mamy nadzieję, że jest to zjawisko przejściowe, niemniej pozostanie po nim „pusty ścieg zapisany w czasie” (posłużyłem się cytatem z własnego wiersza).

Kilka słów o patronie konkursu. Mieczysław Stryjewski urodził się w 1918 roku w Tarnopolu, do poezji dochodził sam, bez niczyjej pomocy, jako samouk. Zadebiutował w chełmskim piśmie literackim „Kamena” w 1937 roku. Po wywołaniu zamieszkał w Lęborku. Z miastem tym związał swój los. Ciężką chorobą przykuty do łóżka walczył się w tężniach wokół życia poprzez pisanie wierszy. Zmarł w 1984 roku.

Do organizacji konkursu włączyli się: Oddział Miejski Stowa-

rzyszenia PAX w Lęborku, Miejski Ośrodek Kultury w Lęborku, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Lęborskiej, Rada Miejska PRON, Stowarzyszenie Wista-Odra Koło Terenowe w Lęborku, Miejska Biblioteka Publiczna, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki w Wejherowie oraz Lęborskie Towarzystwo Kulturalne. Wiele serca i pomocy organizacyjnej udzielił organizator Oddział Wojewódzki PAX w Słupsku z jego przewodniczącym Józefem Majkow-skim.

Jury w składzie: Danuta Klukowska, Grażyna Wirkus, Stanisław Misakowski (przewodniczący), Stanisław Pestka, Jerzy Dąbrowski, Januszewski i Roman Pryl, przyznało nagrody i wyróżnienia. W dziale poezji pierwszej nagrody nie przyznano, dwie drugie nagrody otrzymali Wojciech Bajerowicz z Łobza (województwa śląskiego) i Jerzy Zenek Fryckowski z Dębicy Kaszubskiej; dwie trzecie nagrody — Jerzy Stachurski z Gdańska i Jan Stanisław Lipiński z Krosna nad Wisłokiem. Pięć wyróżnień otrzymali: Wacław Pomorski z Bytowa, Janusz Kozłowski z Lublina, Anna Michowska z Wejherowa, Zyta Rudzka z Warszawy i Krzysztof Koktun z Chelma. W dziale prozy pierwszej nagrody nie przyznano, dwie drugie otrzymali: Gerard Czaja z Bytowa i Andrzej Żok z Wrześnicy, nagrodę trzecią otrzymał Stefan Fikus z Lęborka.

Ponadto Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie ufundowało nagrodę specjalną za utwór o waleczności Ziemi Kaszubskiej, którą otrzymał Krystyn Klimek z Polanicy Zdroju. Stowarzyszenie PAX ufundowało nagrodę specjalną za utwór zawierający motywy religijne Kaszubów. Otrzymał ją Kazimierz Kozłowski z Elbląga. Wprowadzenie nagród specjalnych być może spowoduje szersze zainteresowanie problematyką kaszubską, która wciąż czeka na swego piewiec.

Wyręczenie nagród odbyło się 20 listopada br. w Lęborku.

STANISŁAW MISAKOWSKI

JERZY STACHURSKI

ZDANIE

Tutaj domyka się zdanie co rozświeciła pamięć
Przywraca zieleni schnącemu drzewu
Upadłych słów napina ciężkie znaczenia
Które jeszcze niedawno podawano sobie z ręcznikiem jak piłkę
W roztrzągającym meczu sumień.

Znowu otwierają się drzwi zaczętej rozmowy
I słychać rytm serca
To nadzieja stoi obok jak dziewczynka w białej sukience
Patrzy nam w oczy
Naprawdę została w nas tylko sól
Jak w długiej podróży
Wokół jednego źródła
Zaczyna gromadzić nas pragnienie
By myśli obmyć jak ciało zmęczone słońcem

To jest język którym pisano księgi
I w nim domyka się zdanie co rozświeciła pamięć.

WOJCIECH BAJEROWICZ

GRZYBOBRANIE

Każdy dzisiaj oczywiście szuka według widzimisię,
najczęściej jednak według finansowej miary.
Właściwie nic dziwnego w tej globalnej wiosce,
kiedy wiadomo, na czym każdy siasiad siedzi,
a z satelitów śledzą, co nam skwierczy w garnkach.
Zbieram grzyby pod Łobzem, jest to na Pomorzu,
na końcu świata mierząc od dolara.
Popiskują sikorki, wrzesień, babie lato,
znowu kresy, znowu cisza, tylko wiersze pisać
i odświeżać wzruszenia znane przed potopem.
A jednak czepiam się tej walekiej trawicy
skleconej z Chrobrych, rozbiórów i powstań,
wędrowek i poniżeń, wesel, chrzcin pijanych,
gadania i plakania, do siebie szarpania,
bo jest to znowu kawaleczek Polski.

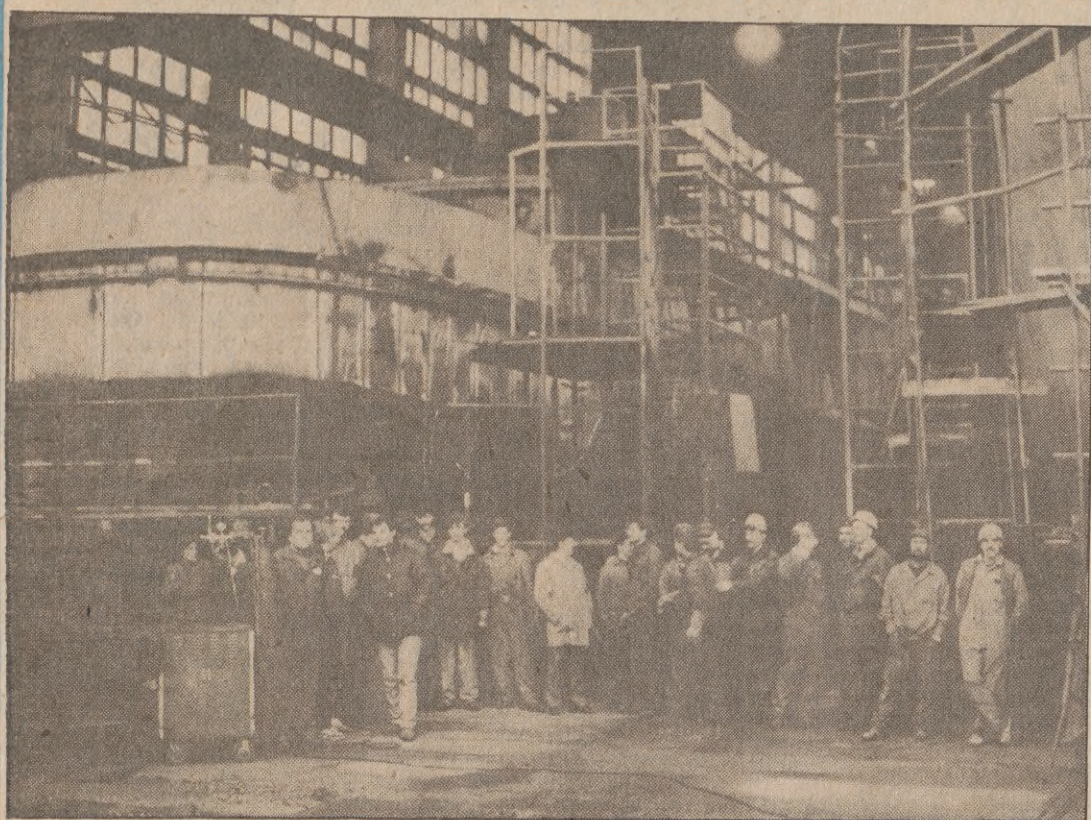
KAZIMIERZ KOZŁOWSKI

WIARA MATKI

na stole
pozostały okruszyny chleba
jak krople słońca

już po biesiadzie słońca
ciała nakarmione i dusze pocieszone

wszyscy rozeszli się
w najrozmaitsze strony
w najszczerze sprawy
tak wierzy matka zanurzona w pacierz
że nie zganie dobre słowo
że nie zgine dobry uczynek
a w końcu każdy znajdzie konfesjonał
jak ostatnią deskę ratunku
na swoje bliźny
na swoje nicości
i ból oddali
a pokarm przybliży
jeśli uwierzy



Kilkanaście lat temu stocznia w Uście, dziś nosząca imię Eugeniusza Kwiatkowskiego, podjęła produkcję stalowych kutrów rybackich. W listopadzie br. wodowano dwusvetny stalowy kuter. Statek ten zamówiło Przedsiębiorstwo Połowów i Usług Rybackich „Koga” z Helu, a matką chrzestną była p. Wanda Byczkowska, główna księgowa „Kogi”.

Dwusvetny kuter otwiera nowy rozdział w historii stoczni. Inauguruje bowiem serię kutrów rufowych oznaczoną symbolem B280. Nowy kuter ma długość 26,80 m — będzie więc o 1 m dłuższy od poprzedników z serii B410. Będzie też mieć większą nośność, a co ważniejsze dla eksploatacji — niemal o połowę większą pojemność ładowni. Spore są różnice konstrukcyjne w porównaniu z B410, wśród nich bardzo istotne dla rybaków: poprawa warunków życia i pracy dla 8-osobowych załóg.

Kolejna rodzina statków oznacza, że stocznia nie czeka beczynnie na lepsze czasy. Konkurencja na rynku będzie coraz większa — i trzeba wykazać się już dziś atutami, które pozwolą zdobyć klientów wśród przedsiębiorstw rybackich, które dzisiaj borykają się z poważnymi problemami finansowymi.

Fot.: JAN MAZIEJUK

TRUCIZNA... LEKARSTWEM

Cykuta dobra na wszystko

Substancje najsilniej trujące wytwarza nie człowiek, lecz... przyroda. Liczne toksyny roślinne i zwierzęce od wieków odgrywały niepoślednią rolę w historii kultury i obyczajowości.

Bieluń dziedzicząca — stosowana chętnie na Bliskim Wschodzie jako środek chwilo-owego obezwładniania przeciwnika — to także jeden ze składników tzw. „maści czarownic” w średniowiecznej Europie, obok innych roślin z rodziny psiankowatych: wilczej jagody, mandragory i czarnego lulka. Zawierają one bowiem halucynogenne alkaloidy (atropinę, hyoskaminę i skopolaminę), co sprawiło, że wykorzystywano je też do sporządzania „napojów miłosnych”.

Znanym i cenionym afrodyzjakiem, wywołującym silne uszkodzenia nerek, była kantarydyna zawarta w krwi i gruczołach samczych owada znanego w Azji i południowej Europie

jako „hiszpańska mucha” (kantaryda). W starożytności po mistrzowsku preparowały z niej miłosne mikstury tesalskie czarownice, ale korzystano z niej chętnie i w średniowieczu, a także w XVIII wieku w postaci „love powder” w Anglii, francuskich „pastilles galantes” czy włoskich „diabolini di Napoli”. Własności szatańskiej „muchy” znali dobrze już Arystoteles, Hipokrates i Pliniusz.

Anglicy nie od dziś wiedzą, że kofeina i teobromina z ziarna kawowego bądź kakaowego używana jest na ich torach w charakterze środka dopingującego dla koni i chartów wyścigowych.

Gorzej, gdy rośliny i zwierzęta służą do czynów całkiem morderczych. Klasycznym przykładem pozostanie samobójcza śmierć Kleopatry, która skorzystała z jadu pewnego gatunku kobyry oraz zgłodnienie cesarza Klaudiusza przez własną żonę

przy pomocy trujących grzybów. Późniejsze wieki wzbogaciły historię kryminalistyki o świadome stosowanie alkaloidów.

W połowie ub. stulecia hr. Bocardie uśmiercił szwagra przy pomocy ługu tytoniowego, a w 1901 r. sławny dr Crippen pozbył się żony przy wykorzystaniu skopolaminy. Bardziej pomysłowy okazał się dr de la Pommerais, który wykorzystał w tym celu glikozyd z napastrnicy purpurowej. Przed 6 laty popełniono niezwykle morderstwo w londyńskim autobusie przy użyciu rycyny — silnie toksycznej substancji białkowej z nasion rącznika pospolitego (nie mylić z nieszkodliwym olejem rycynowym!).

Ale te naturalne toksyny wykorzystywano też na polach bitewnych. Herakles nasycał podobno końce swych strzał jadem hydry lernejskiej, lecz jego następcy skuteczniej zatruliwali je

wyciągiem ze szpilek lub nasion ciżu, zawierających taksynę i efedrynę.

Ludy pierwotne mają bardzo bogatą paletę możliwości, korzystając z jądów pewnych gatunków mrówek, chrząszczy i żab. Kolumbijscy Indianie używają w charakterze broni chemicznej żab z rodzaju Phylllobates, uzyskując z nich do strzał batrachotoksynę, zaś w Amazo-nii powodzeniem cieszy się nadal kurara uzyskiwana z roślin z rodzaju Strychnos; podobne skutki — nagły paraliż ofiary — wywiera tubokurara. Szereg mniej szkodliwych środków roślinnych, o działaniu przejściowym oszałamiającym, stosuje się wśród różnych plemion do chwytania zwierząt i połowu ryb.

Europejczy fachowcy od broni chemicznej, nie chcąc pozostać w tyle, planowali podczas ostatniej wojny użycie jadu kielbasianego z bakterii kiszkowca,

którego 30 g pozwoliłoby zgładzić od razu 200 mln ludzi!

Poza tym trucizny naturalne starano się wykorzystywać w przypadkach tzw. „sądów bożych”, gdy śmierć oznaczała po prostu udowodnienie winy delikwenta, a niewinność objawiała się odrzuceniem specyfiku. Biała tym, którzy mieli odporne żołądki!

W Afryce zachodniej i środkowej bada się winę podejrzanego, gdy konsumuje on gatunek fasoli zawierający alkaloid fizostygminę. Starożytni Egipcjanie wyprowadzili rodaków w zaświaty przy pomocy cyjanogennego glikozydu z nasion brzośkwii, a Sokratesowi całkiem świadomie podano cykutę, nie wiedząc chyba, że zwykle niebezpieczna koniina z cykuty plamistej w odpowiedniej dawce bywa ratunkiem w przypadku astmy, duszniczej bolesnej i bólów żołądka, zaś cykutoksyna z innego gatunku pomaga epileptykom.

Podobnie bywa z innymi toksynami użytymi we właściwych dawkach: rozwodniony wyciąg z gorzkich migdałów od dawna pomagał na kokałusz, astmę i kolikę, akonityna z tojadu dzio-batego — na ostre nerwobóle i chroniczne zapalenie stawów, a kolchicina z zimowitu jesienne-go — na artretyzm. Substancje glikozydowe z napastrnicy, oleandru, konwalii i ciemiernika są skutecznymi środkami nasercowymi.

Jadem groźnych ropuch leczono w Chinach choroby serca, a w ubiegłym stuleciu jad amerykańskiego grzechotnika stosowano na trąd, dyfteryt i różnego rodzaju gorączki, choć niekiedy przedawkowanie pociągało za sobą śmierć pacjenta. Dziś przy pomocy jadu węży hodowlanych, będącego składnikiem odpowiedniej maści, leczy się skutecznie reumatyzm, ischias czy chroniczne zapalenie mięśni i stawów. Dotyczy to także jadu pajaków i pszczoł.

Wykorzystanie trucizn naturalnych czyni dalsze postępy: alkaloid z tropikalnego barwinka spożytkowano do skutecznego leczenia niektórych odmian białaczki, zaś w ostatnich latach stwierdzono, że rozwój pewnych postaci raka powstrzymuje podobno holoturyn z tzw. „ogórków morskich”.

KRZYSZTOF GÓRSKI

Z tamtej strony lady

W dobie wszelkich trudności nauczyłam się rezygnować z wielu rzeczy. Nie da się jednak uniknąć codziennych zakupów: trzeba coś jeść i w coś się ubrać. W sklepach denerwujące jest wszystko: zle zaopatrzenie, długie kolejki, klienci w nich stojący i wreszcie obsługa. Najczęściej wydaje mi się, że gdybym ja stanęła z tamtej strony lady, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej...

Stan naszego handlu oceniamy często poprzez poziom obsługi. Gdyby ekspedientka, zamiast sakramentalnego „nie ma”, „nie wiem kiedy będzie” powiedziała: nieźle mi mi przykro, takich butów chwilowo nie mamy, ale proszę dowiedzieć się w przyszłym tygodniu — i całą tę wypowiedź okrasila uśmiechem, opuściłabym zapewne sklep mniej rozgoryczona na handlowców, przemysł i sytuację gospodarczą kraju.

Kto zatem stoi z tamtej strony lady, od kogo na próżno klienci oczekują rzeczowego, grzecznego traktowania?

Danuta Pasalska, zastępca dyrektora Zespołu Szkół Ekonomicznych w Słupsku wykształciła i wychowała kilkanaście „roczników” sprzedawców: od dwóch lat zajmuje się sprawami związanymi z praktykami zawodowymi uczniów.

— Zawsze pytam moje uczennice, co je skłoniło do wybrania takiej właśnie szkoły. Część z nich twierdzi, że

zawsze marzyły o pracy w sklepie,

część przyznaje, że poszły tam, gdzie koleżanki, a część nie kryje, że wybrała tę szkołę za namową rodziców: „nie nadaje się” do liceum, o czym świadczą stopnie na świadectwie, a zawód jakiś trzeba zdobyć. W Słupsku takim dziewczętom pozostaje do wyboru właściwie tylko szkoła gastronomiczna, obuwnicza i „handlowa”. My sami niejednokrotnie proponujemy dziewczętom, które nie dostały się do naszego liceum — naukę w zasadniczej szkole zawodowej. 15–20 proc. dziewcząt zgłasza się do nas po pierwszym terminie naboru kandydatów do szkół. Są to te, które nie dostały się gdzie indziej. Wybór zawodu jest więc dla naszych uczennic najczęściej przypadkowy. Będą go w przyszłości wykonywać bez serca, zaangażowania, czasem wręcz z niechęcią.

W słupekim Zespole Szkół Ekonomicznych kształcą się sprzedawcy w 3-letniej szkole zawodowej. Tegorocznymi absolwentami liceum o specjalności sprzedawca-magazynier kończą cykl pięcioletniego kształcenia kadr dla handlu: doświadczenie wykazało, że żadna z absolwentek tego liceum nie poszła pracować za ladę.

W podobnym systemie kadry dla handlu kształcą szkoły w Bydgoszczy i Łęborku. Uczy się w nich łącznie 740 uczniów. Rocznie szkoły te opuszcza 200 sprzedawców-magazynierów, z wykształceniem średnim i zawodowym. Gdyby ci młodzi ludzie zawsze trafiali tam, gdzie ich miejsce, to odchodząc od odchodzących na emeryturę, można by „obstać” wszystkie lady. A tymczasem sprzedawców stale brak.

W sklepie nr 13 PSS „Społem” przy ul. 3 Maja w Słupsku przez kilka miesięcy od stoiska do stoiska kursowała wywieszka: „stoisko jest obsługiwane w miarę wolnego sprzedawcy”. Sprzedawczyni czekała aż skończy się kolejka do stoiska „1001” drobiazgów, przenosiła się do cukierniczego, gdzie już przestępował z nogi na nogę spory tłumek. Zaś klienci biegali od lady do lady w pogoni za „wolną sprzedawczynią”. — Na jednej zmianie pracowały wówczas 4 osoby — mówi kierowniczka sklepu Anna Kaczmarska. — Jeśli wypadnie jakieś zwolnienie, urlop, bywa że pięć stoisk obsługuje 2–3 sprzedawczynie.

Z danych Wydziału Handlu i Usług Urzędu Wojewódzkiego w Słupsku wynika, że w woj. słupekim w sklepach PSS „Społem” brakuje 20 sprzedawców, w WOSP — dwóch, w PHS — pięciu. Największe braki odczuwa handel wiejski: 150 miejsc pracy za ladą (9,4 proc. całego stanu zatrudnienia) czeka w sklepach GS. Natomiast żadnych nie zgłasza WPHW. — No cóż, praca tu spokojniejsza, czystsza, nie licząc terminów dostaw, całe dnie można spędzić za pustą ladą. Więcej wolnych sobót, żadnych pracujących niedziel.

Nie takie więc znowu wielkie braki, chociaż w odczuciu klientów, kolejki w sklepach spożywczych, szczególnie w godzinach popołudniowych, są stanowczo za długie. Gdzie są jednak ludzie, których w różnym stopniu doskonałości kształcą aż trzy szkoły w województwie?

Najczęściej, jeżeli nawet w trakcie nauki i praktyki nie dojdą do wniosku, że stanowią...

minęli się z powołaniem

to szybko dochodzą do niego w pierwszych latach pracy.

— Nasze uczennice rozpoczynają praktykę w pierwszym roku nauki — mówi Danuta Pasalska. — Za ladą stają 15-letnie dziewczyny, prawie dzieci. Nikt nie zwraca uwagi na plaketkę „Uczeń” wpiętą w fartuszek. Każdy żąda, poganiamy, denerwujemy się. Rzeczywistość jest czymś zupełnie innym, niż teoria i różni się od zabawy w piaskownicy, gdzie małe dziewczynki bawią się w sklep...

— Z tych dziewcząt nie ma większej pociechy — mówi Anna Kaczmarska. Mało jeszcze umieją. A jednocześnie mam skrupuły, że ja i moje koleżanki niewiele możemy je nauczyć, bo nie ma na to po prostu czasu. Dobrze, jak nauczą się choć sprzątać...

Nic też dziwnego, że dziewczyny marzą o tym, by jak najszybciej skończyć szkołę i jak najdalej uciec od sklepu...

Pewne rygory na młode kadry, planujące „odpłynięcie” z handlu nakłada zarządzanie zobowiązujące zakłady pracy, które nie kształcą pracowników, do zwracania kosztów ich nauki. Ma je to powstrzymać przed zatrudnianiem sprzedawców, których naukę opłaca PSS „Społem”, na stanowiskach np. ślusarzy, a tym samym utrudniać im szukanie pracy w innym zawodzie.

— Pracuję w tym sklepie od dwóch lat. W tym czasie żadna ze sprzedawczyń nie odeszła stąd do innego sklepu, ale do innej pracy — mówi Anna Kaczmarska.

Anna Kaczmarska sama po szkole pracowała w sklepie tylko rok, potem przeniosła się do pracy w biurze. Dwa lata temu spokojne miejsce za biurkiem zamieniła ponownie na sklep.

— Lubię pracę w ruchu, chcę robić coś, czego efekty widzieć — mówi. Zanim podjęła taką decyzję skończyła wyższe studia ekonomiczne dla własnej satysfakcji: ubiegając się o pracę w sklepie dyplomu nawet nie pokazała...

Dziewczęta kończące szkołę są akurat w wieku do wyjścia za mąż i urodzenia dziecka. Już w połowie trwania stanu błogosławionego są przenoszone do pracy w biurze. Potem urlop macierzyński, wychowawczy, w końcu szukają pracy jednoznacznej, gwarantującej wolne soboty, możliwej do pogodzenia z czasem funkcjonowania żłobków i przedszkoli. Sporo dziewcząt uczy się dalej w szkołach wieczorowych, co też koliduje z pracą dwumianową. Wciąż znowu odeszły ze sklepu. — A ktoś by tu wracał po maturze?

Praca w handlu jest ciężka i to dosłownie. Jednorazowa dostawa towaru do sklepu wynosi 5 ton — mówi kierowniczka „trzynastki”. Towar trzeba najpierw przenieść, potem poukładać w magazynie, a potem systematycznie uzupełniać nim ubytki na półkach.

Wszystko to dźwigają ręce kobiet.

Jedynym udogodnieniem są małe platformy na kółkach, do zastosowania zresztą tylko w większych sklepach. Czasem mam towaru w magazynie po sufit — mówi Anna Kaczmarska. Ale wtedy nie podoba się Sanepidowi. Ja już przestałam sprowadzać towar, żeby mieć trochę spokoju.

Z braku opakowań jednostkowych przemysł dostarcza wiele artykułów „luzem”: masło i smalec w wielkich blokach, cukier i kaszę w workach, makaron i ciastka w kartonach. — To, że nie ma nas za ladą nie oznacza, że nie ma nas w pracy, albo siedzimy i pijemy kawę — zapewniają sprzedawczynie. Mamy pełne ręce roboty na zapleczu przy ważeniu cukru i masła.

Placę nie rekompensują tych wszystkich uciążliwości. Np. w sklepie nr 13 średnia płaca wynosi 16 tys. zł. Nie można przekroczyć miesięcznego funduszu płac (260 tys. zł), jeżeli nie chce się „potknąć” o 12-procentowy próg podatkowy. Osób zatrudnionych jest, co prawda, 13, ale etatów do placenia 15, ponieważ z tych samych pieniędzy trzeba opłacić kobiety ciężarne, a ponadto wszystkie „chorobowe”. Anna Kaczmarska proponuje, by stworzyć wspólny fundusz przeznaczony na wynagrodzenie w takich okolicznościach lub też np. zorganizować pracę dla kobiet ciężarnych, by odciążyć fundusz placowy, a tym samym zwiększyć zarobki pracujących w sklepie kobiet.

Nie rozgrzeszam sprzedawców z ewidentnych często grzechów. Starałam się tylko pokazać drugą stronę medalu niewidoczną z naszej strony lady.

MAGDALENA KARWOWSKA

W MIASTKU



Im się chce

c.d. ze str. 1

Dla laika nazwy krupon, krupon nappa, krupon antykowany czy salamander brzmią tajemniczo, ale tak właśnie nazywa się odpowiednio wyprawiona świńska skóra. Ostatnim przebojem jest skóra antykowana, rudo-brązowa, jakby sprana, wytarta i ta robiona na wzór skóry gadów. Tych przeobrażeń świńskiego grzbietu dokonuje na potrzeby Miastka garbarnia w Dębicy Kaszubskiej. Dyrektor Bogdan Karwowski nie omieszkiał podkreślić zasług garbarzy. Żeby jeszcze troszeczkę poprawić jakość. Ale i to się da zrobić...

Poznałem także projektantkę tych szokujących w naszym ubóstwie rynkowym wyrobów. Lucyna Majka siada zwykle za starym odrapany biurkiem, coś tam rysuje, coś mierzy, w pomieszczeniu obok zaraz wycinają to z płatów skóry, zszywają i gotowe. Proste? Ale jak widać w naszych sklepach, nie wszyscy chcą się wykazać inwencją. Dla mnie pani Lucyna jest artystką, twórcą czerpiącym z obfitości kierunków — mody oczywiście. Dowiedziałem się przy okazji z bliskawiczego wykładu, co się teraz i jak ze skór nosi. A więc najważniejsza jest linia odzieży, dobra konstrukcja modelu. W przeciwieństwie do niedawno jeszcze obowiązujących kanonów mniej jest obecnie elementów dekoracyjnych, różnych zamków, patek, zatrzasków. Ramiona nadal są poszerzone, talia staje się coraz bardziej dopasowana, długości obowiązuja wszelkie. Wiedzą to chyba wszyscy projektanci odzieży, ale nie wszyscy się do tych kanonów dostosowują. Stąd też kiedy na ostatniej giełdzie w Poznaniu zaprezentowali swoją kolekcję na rynek krajowy i pokazali modele eksportowe, które na rynek mogą trafić tylko jako „odrzuć z eksportu” — handlowcy wykupili dosłownie wszystko. Trzeba dodać, że atrakcyjne są także ceny. Wyroby ze skóry świńskiej są znacznie tańsze od tych z cielęciny, które dominują u innych producentów.

Świńska odpowiednio wyprawiona skóra, stała się zatem przebojem na dużą skalę. Pomysł chwycił, chociaż w zasadzie został do niego zmuszeni. Szyli przecież odzież z zamazu, ale gdzieś od trzech lat nie mogli już nic sprzedać na eksport i niewiele też w kraju. Nie pomagały nawet atrakcyjne wzory. Przystawili więc technologię na skóry świńskie licowane, systematycznie zmniejszając udział zamazu w produkcji, chociaż to trudne i kosztowne. W tym roku zamazu będzie jeszcze 280 tys.

m², ale w przyszłym już tylko 120 tys. m², przeznaczonych na imitację kozuszków, które jeszcze dobrze się sprzedają.

Dzięki tej organizacji za 9 miesięcy tego roku eksport w układzie wartości wzrósł o 229% — mówi dyrektor Karwowski. Na przyszły rok też planujemy przyrost.

Dowiedziałem się także, że wartość eksportu w cenach umownych wyniosła za 10 miesięcy tego roku 313 mln złotych, a produkcja na kraj w tym samym czasie osiągnęła wartość 3 mld złotych. Mimo że koszty przygotowania produkcji są wysokie, bo serie odzieży są niezbyt długie — Miastko się to opłaca, jak też i pośrednikom, dzięki którym wyroby z miasteczkiej fabryki trafiają do całej Europy. Tradycyjnie już Skórimport, Co-opexim i ostatnio nawet... PZB są partnerami fabryki. Likwidują więc monopol w zakresie eksportu, szukają najkorzystniejszych dla siebie warunków, cen. Do takich należą handel z PZB bezpośrednio na polskich promach. Miasteczka odzież jest tam dosłownie rozbijana.

Potrzebna jest więc stała rotacja modeli, krótkie serie, błyskawiczne dostawy, co przy niewielkiej odległości od Kołobrzegu jest łatwo spełniane. Efekty ekonomiczne — bardzo dobre. Tylko początek współpracy przyniósł 15 mln wpływów. A być może, że w niedalekiej przyszłości fabryka zyska samodzielną rolę w handlu zagranicznym?

Pytałem dyrektora czy nie warto byłoby otworzyć sieci sklepów fabrycznych w kraju. Klienci też byłiby zachwyceni. Uzyskałem odpowiedź, że oni w Miastku znają się na produkcji, od tego są, a nie od sklepowego handlu.

Muszę dodać, że w Miastku pomyślano także o maksymalnym wykorzystaniu surowca. Od 1980 roku, a więc od czasu największego kryzysu, istnieje tam produkcja z odpadów produkcyjnych, choć w pasie wybrzeża robią to tylko dwa zakłady. Kurtki z latek są poszukiwane szczególnie przez młodzież z uwagi na niską cenę 7–8 tysięcy. Jest to produkcja kłopotliwa, najprościej byłoby z niej zrezygnować, bo to tylko niewielki procent całości, ale ambicje nie pozwalają. A przy tym opłaca się.

Kiedy na koniec mojej wizyty dyrektor Karwowski powiedział, że właściwie to oni już dawno są w drugim etapie reformy, zgodziłem się z nim w pełni.

TOMASZ ZIMMER

Fot. JAN MAZIEJUK

KOSMICI WŚRÓD NAS

Złodziejskie zwierzaki

Na targowisku miejskim w Słupsku grupa mężczyzn dyskutowała o obrzydliwych, niemoralnych zwyczajach wielu zwierząt. Mój wykład poczytnego cymbała z dobrze rozwijającą się sklerozą pozwolił mi bezpiecznie wsłuchiwać się w tę interesującą rozmowę publiczną.

Tematu dostarczył wygłoszony rosyjski pies, który desperacko porwał przed chwilą kawał enerdownskiego salami podobnego do odcinka zarzewia rury. I oczywiście uciekł, by gdzieś tam spożyć zdobycz, co zubożyło o kawał mięsa aż dwa narody. Na targowisku rozległ się dramatyczny okrzyk: złodziej! łapcie go! Wszyscy zamarli, gdyż oskarżenie mogło dotyczyć każdego. Potem się uspokoił i handlowali dalej.

Jeden z mężczyzn podał przykład wrednego kota, który w jakiejś sąsiedzkiej kuchni ściągnął poleć wędzonki. I jeszcze jednego niedobrego kota, co zamordował ptaszka, a później, wywiłkła, ukradł całą salaterkę wymoczonych śledzi.

Inny mężczyzna przytoczył nieprzyjemny przykład kota (cały rudy był ten zwierzak) złodzieja, który zabrał ludziom trzy panierowane już, a jeszcze nie usmażone, schaboszaki.

Powiedziano również o psie, co potrafił swinać piętnastokilo-

logramowy fragment wieprzaka (nieżyjącego już oczywiście). Pies ów nazywał się Benedykt i potrafił zarzucać sobie zdobycz na plecy, co jest raczej cechą dzikich wilków. Ale możliwe, że w trudnych warunkach ekonomicznych i psychologicznych uczą się tak samo dobrze wynosić łupy jak mądre wyteplone już wolne psy.

Kolejny mężczyzna wspominał o koczach, co, jak cichy kieszonkowiec, potrafił wyciągać ludziom banknoty z kieszeni i zjadać je. Dyskutujący podkreślili wówczas, iż koza owa popełniła jednocześnie wiele przestępstw, gdyż nie tylko niszczy deficytowy papier ale polyka także portrety ludzi zasłużonych i wybitnych. Nikt z gadających nie podniósł zasług takiej kozy dla rozsądnego pozbywania się z rynku nadmiernej ilości pieniędzy, co oznacza właściwą metodę walki z inflacją.

Złodziejami największymi wśród zwierząt są psy, tak ustalono wstępnie. Były właściciel salami pocieszał się myślą, że gdy spotka tego owczarka podrasowego, to go zatłucze i widać mu było na twarzy zadowolenie, gdy oczyma duszy zobaczył, jak egzekwuje karę, bo wydawało mu się, że pies już wpadł mu w łapy.

Jeden z mężczyzn, który ogląda telewizję stwierdził, że zwierzaki kradną nie tylko ludziom, ale także same sobie.

Dla przykładu: sępy, hieny i szakale kradną lwicom upolowane mięso antylop (lwicom, gdyż lwy samce, podobnie jak większość mężczyzn w Polsce, nie zajmują się organizowaniem pożywienia). A jeden lis na filmie z wielkim ryzykiem ukradł wilkowi zagryzionego zająca.

Sobie niech kradną, bydłaki — powiedział kolejny dyskutant.

Największe cholery złodzieje są myszy, choć małe. Jedna mysia samiczka rodzić potrafi do dziesięciu razy w roku po sześć do ośmiu młodych! Osiemset myszy od jednej pary! A żyje kradnąc ludziom pożywienie i tnąc na drobiny wiele cennych rzeczy!

Szczur to jest dopiero menda złodziejska — podkreślił któryś z rozgniewanych rozmówców o złodziejach wśród zwierząt.

Dyskusja przebiegała prawdziwie, bowiem zakończono ją uchwałą, żeby wymienionym zwierzętom dać w kość przy każdej możliwej okazji, a najlepiej dokumentnie je wyteplić razem z ich podłymi obyczajami.

Uchwały tej nie wykonano, nie ma bowiem u nas zwyczaju wykonywania uchwał. Babcia jedna, gdy ostygły dyskusyjne namiętności powiedziała, że sroki są złodziejki dopiero, bo złoto potrafią rąbać oraz inne brylanty.

Ale ktoś by słuchał jakiejś babci.

Rozmówcy powrócili do swych targowych zajęć. Konkretnie do handlu różnościami.

Jeden sprzedawał spore ilości roboczych rękawic. Takich, jakie przydziela się robotnikom nie tylko budowlanym w ujęciach społecznych zakładach pracy.

Drugi oferował klientom robocze kombinzony, ubrania i

filcowe buty z tajemniczych źródeł.

Trzeci miał armaturę wodociagową i sanitarną.

Czwarty zegarki ręczne. Być może kupione w „Jubilerze” i sprzedawane społecznie bez zysku.

Piąty przewody i kable elektryczne, które tak trudno zdobyć, więc są tak drogie.

Szósty chodliwie klucze oczkowe, gwintowniki, frezy, narzędzia fabrycznie nowe.

Pomyślałem o nazywanych złodziejami zwierzętach i zrobiło mi się przykro. Z natury łatwo się wzruszam i jestem płacziwy, co pogłębia się z wiekiem.

Czy to możliwe, deliberowałem, żeby ludzie nie pojmowali, iż zwierzaki nie kradną? One po prostu zdobywają dla siebie pożywienie w każdy możliwy sposób i rzecz nie ma związku z moralnością lecz naturalnym instynktem oraz elementarną potrzebą zaspokajania głodu. W naszych stosunkach ludzie z głodem nie kradną. Kradną, by zdobywać łatwo środki na przyjemności życia, głównie na wodę.

Nawet zalany do nieprzytomności złodziej wie, że zwierzęta nie kradną, myślałem podekscytowany. Trzeba być nadkompletnym półgłówkiem, żeby tak twierdzić, myślałem. Wspomniane idiotyczne poglądy szerzyć może jedynie maginetofon albo inna maszyna!

I wtedy doznałem przebiegu: na targowisku gadał z sobą kosmic! Nakrecał elektryczne prymitywy. Najpierw rozpuszczają wieści, że zwierzęta są złodziejami. A potem będą mówić, że ludzie okradają zakłady pracy i sprzedają łupy na targowiskach!

ANATOL ULMAN



Bogusław Olechnowicz, która na ostatnich mistrzostwach świata w judo zajęła trzecie miejsce w swojej kategorii, odebrała wiele gratulacji. Przyłączyli się do nich również I sekretarz KW PZPR w Słupsku, Zygmunt Czarzasty (na zdjęciu — podczas wręczenia symbolicznego upominku) i wojewoda słupski Czesław Przewoźnik.

Fot. JAN MAZIEJUK

Arcymistrzowie umysłu

Czy szachy są sportem? — Ogromnie się kiedyś naraziłem szachistom, stawiając to pytanie... i odpowiadając następująco: przypuszczam, że wątpię! Że jednak coś trzeba było z nimi zrobić i gdzieś podwiesić, więc przydzielono do „resortu sportu”... i tak to trwa.

Nie wiem właściwie, dlaczego szachistom tak bardzo zależy na tytule „sportowców”? Można nawet doszukiwać się w tym, wiele dla tych drugich pochlebnej ewolucji sposobu myślenia; przecież dawniej traktowano sportowców jak zapatrzonych wyłącznie w swoje muskuły osiłków...

Szachy są — dla mnie — atletami, ale umysłu. Szachy w wykonaniu arcymistrzów, to sztuka przez największe S. Wiele szachistów są więc artystami, którymi powinien w nas raczej opiekować się minister Krawczuk, niż przewodniczący Kwaśniewski. I nie byłoby to chyba żaden dla szachistów dysonor, może przeciwnie: awans. Natomiast szachy w normalnym, potocznym wydaniu, to umysłowa gra towarzyska. Coś tak jak tenis stołowy sportem wyczynowym, a ping-pong świetlicową grą sportową.

Oczywiście, że w szachach występują elementy sportowe, no ale gdzie ich nie ma?! Są w każdej niemal ludzkiej czynności, co przecież nie znaczy, że... każda jest sportem! Już bez porównania więcej elementów ruchowo-sportowych zawiera np. taniec towarzyski, a przecież nie został podłączony do sportu, lecz do domów kultury. I tam też byłoby miejsce dla szachistów, dla brydża (porównawczego, zwanego również sportowym, w odróżnieniu od tzw. kółkowego), dla warcabów, „chińczyka” i cymbergaja, by ironicznie sprowadzić rzecz do absurdu. Sport to ruch i wysiłek fizyczny; „siedzące” szachy są tego zaprzeczeniem. I proszę mi nie mówić, że wioślarze, kajakarze, szybownicy, motocykliści i motorowodniacy też „siedzą”...

Lata, lata temu, gdy ośmielałem się dziwić obecnością szachów w rodzinie sportów, strzelano do mnie z grubej rury, powołując się na sąsiada, będącego największą w szachach (i nie tylko!) potęgą. Po czymś takim powinienem być właściwie popelnąć harakiri, a ja, lekkomyślny kamikadze, zniecierpliwiony ciągłym domaganiem się przez szachistów takiej opieki, jak właśnie u sąsiada, napisałem, że inne tam tradycje i uwarunkowania, i że naszego resortu sportu na to po prostu nie stać. Tak sobie głośno myślę: może będąc stypendystami i na garnuszkę Ministerstwa Kultury (albo Edukacji Narodowej) naszym szachistom wyczynowym powodziłoby się lepiej, szkoleniowo i bytowo?

Nie wszędzie musi obowiązywać jeden model. Wczytałem gdzieś kiedyś, że np. w NRD szachy nie są zaliczane do sportu, lecz pozostają tam „w innej gestii”. Zważywszy, jaką rolę odgrywa NRD w sporcie, rzecz godna odnotowania i może zastanowienia się. Nie takie to wszystko proste i automatyczne, jak się niektórym wydaje. W NRD, owszem, gra się w szachy, szachyści tego kraju uczestniczą w turniejach, również zagranicznych, tyle że „nie są sportowcami”.

Powiadają, że szachyści, rozgrywający wielogodzinne mecze i wielotygodniowe turnieje, muszą mieć kondycję i dlatego „są sportowcami”. Kto jednak nie musi kondycji mieć, proszę mi łaskawie powiedzieć?! Bez kondycji ani rusz nie tylko w sporcie. W dzisiejszych czasach każdy powinien dbać o kondycję i w tym celu uprawiać sport, a w każdym razie znajdować trochę czasu na zajęcia sportowo-ruchowo-rekreacyjne. Szachyści nie są więc wyjątkami... i łaski nie robią.

Ze sportu — tego „prawdziwego” — przejęły szachy zasady współzawodnictwa i nazwy imprez. Rozgrywane są więc mecze, organizowane turnieje, odbywają się mistrzostwa świata i — w cyklu czteroletnim, jak igrzyska sportowców — olimpiady. Lecz mistrzów świata wyłania się również w maszynopisanie, we wspomnianym tańcu towarzyskim, w bilardzie (tu wysiłek fizyczny jest niezbędny i występuje w większym wymiarze), w innych hobbistycznych grach świetlicowych...

Z szachów wziął się termin — „arcymistrzowski remis”, używany również, ale w ironicznym mocno znaczeniu, w piłce nożnej. Otóż obaj arcymistrzowie stosunkowo szybko przystają na remis, nie widząc szans uzyskania takiej przewagi, która mogłaby doprowadzić do zwycięstw. W piłce nożnej sporo meczów kończy się asekuracyjnymi remisami, obie strony boją się zaatakować, pilnując „wróbla w garści” — remis i jedynego punktu (w szachach za remis otrzymuje się pół punktu).

W Sewilli, gdzie właśnie toczy się kolejny mecz o tytuł mistrza świata pomiędzy Garrim Kasparowem, a Anatolijem Karpowem, również „arcymistrzowski remis” nie brakuje. Zmora remisów zaciążyła na pierwszym meczu obu tych szachistów, przerwany przez prezesa międzynarodowej federacji, gdyż zdawał się nie mieć końca. Grano wtedy do 6 zwycięstw, remis się nie liczył, no i... grano właśnie bez końca, co było już nudne i nieco humorystyczne. Wyznaczono nowy mecz, na innych warunkach — i zwycięzca został 22-letni Kasparow, najmłodszy mistrz świata w stuletniej historii pojedynków o mistrzowską koronę.

Mecze o mistrzostwo świata cieszą się nie małym zainteresowaniem. Niektórych mistrzów owiewa legenda, jak np. Kubańczyk Capablanca, Tala czy Fishera. Byli to gracze obdarzeni wielką fantazją. Fisher nawet chorobliwie do tego stopnia, że w zwycięskim, koniec końców, meczu ze Spasskim, sprezentował rywalowi jeden punkt, a potem oddał Karpowowi tytuł bez walki!

Kasparow też ma fantazję!...

ZBIGNIEW DUTKOWSKI

Pozostały tylko wspomnienia

Mirosław Okoński grający obecnie w HSV Hamburg, Mariusz Niewiadomski — zwany przez fanów Lecha Poznań „Maradona” czy Piotr Rzepka — rozgrywający gdyńskiego Baltyku to ci, którzy zrobili największą sportową karierę. Poza nimi znani byli na ligowych boiskach: Stefan Miła, Leszek Pałka, Bogdan Chwistek, Zygmunt Gilewski, Zbigniew Szpakowski, Andrzej Szygenda... Można by wymienić jeszcze przynajmniej kilkunastu innych futbolistów, wywodzących się z kilku ośrodków Środkowego Pomorza, a grających w Gwardii Koszalin. Na początku lat siedemdziesiątych, działacze koszalińscy stworzyli zespół łączący się w II lidze. Mieli spore możliwości, a przede wszystkim środki. Wiele zakładów przemysłowych województwa gwarantowało pomoc w rozwoju wyczynowej sekcji piłkarskiej. Od 1975 roku po reformie administracyjnej możliwości koszańszczanin zostali w poważnym stopniu uszczuplone. Bazowanie na kilku małych sponsorach nie mogło przynieść spodziewanych efektów.

Zaszyły też zmiany we władzach klubu. Nie zawsze dostrzegano w futbolu najbardziej masową dyscyplinę sportu. Drużyna seniorów zaczęła wyraźnie grawitować w kierunku trzecioklasowego zacięcia. W kolejnej dekadzie zadomowiła się w trzeciej lidze na dobre, grając bez większych motywacji awansu. Ba, trzy lata temu gwardziści prawie cudem uratowali się przed spadkiem do „okręgów”!

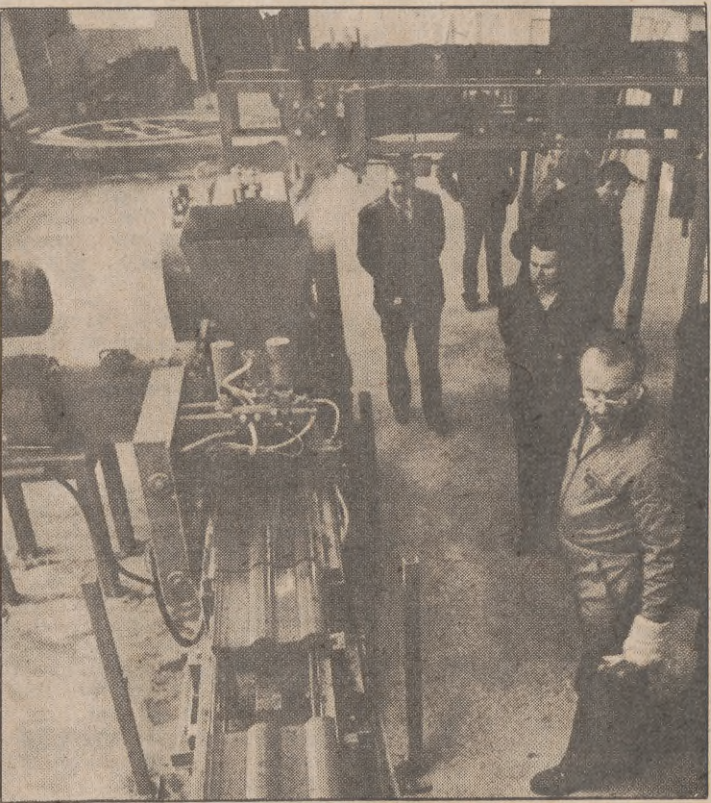
Pod wodzą trenera Leona Demydzuka odbili się jednak od dna i w następnym sezonie, dość niespodziewanie, wywalczyli pierwszą lokatę w drugiej grupie III ligi.

Trzeba przyznać, że nawet w czasie najmniej przychylnym nie zapomniano w Gwardii o systematycznym szkoleniu młodzieży. Wychowankowie oraz odbywający zasadniczą służbę wojskową w Bałtyckiej Brygadzie WOP żołnierze utworzyli zespół zupełnie wystarczający na III ligę, ale za słaby, by rywalizować z drugoligowcami. Ponieważ koszańszczanie nie stać było

na transfery, drużyna dość szybko stała się outsiderem. Po rundzie jesiennej podziękowano za pracę trenerowi Demydzukowi. Od stycznia tego roku szkoleniem gwardzistów zajął się znany na Pomorzu Środkowym trener Tadeusz Wanat (kilka sezonów pracy w GKS Gryf Słupsk), który na asystenta dobrał sobie Andrzeja Szygendę. Niestety, sytuacja Gwardii była zbyt poważna by jedynie takie zmiany mogły ją uratować od degradacji.

Zespół wyładował ostatecznie w bardzo silnej (północno-zachodniej) I grupie trzeciej ligi. Grają tu drużyny doświadczone, znające się nawzajem: Celuloza Kostrzyn, Chemik Police, Lechia Zielona Góra, Warta Poznań, Stocznowiec Barlinek czy też Błękitni Stargard Szczeciński. To wymagający rywale, z aspiracjami do premiowanej lokaty. Nic dziwnego, że mając ostatnio spore kłopoty personalne Gwardia zajęła dopiero 10 miejsce w strefie spadkowej z 11 punktami. Odszedł z zespołu organizator gry Leszek Loszkowski, a także obiecujący napastnik Mirosław Trzeciak oraz Sławomir Fusiek. Rozbrał ze sportem wzięli Radosław Marciniuk, Marek Chmieleński i Józef Rokowski. Zespół tworzyli w większości młodzi wychowankowie, bądź zawodnicy z naszego regionu: bramkarze — Mirosław Swirko i Cezary Paprocki, obrońcy — Bogdan Chwistek, Robert Waszczyk, Grzegorz Lewandowski, Janusz Studziński, Jarosław Bubnowicz, pomocnicy — Janusz Szczepniak, Leszek Adamczyk, Jan Fidos, Stefan Miła i Waldemar Czarnecki, napastnicy — Dariusz Józwiak, Waldemar Kubica, Krzysztof Smoliński, Wojciech Sobczak, Dariusz Szacoń i Robert Dymkowski. Ambicje „największego klubu w Koszalińskim nie sięgają wyżej III ligi. Szkoda, bo spory stadion wraz z zapleczem, aż się prosi o zawody o wyższą stawkę niż obecnie. Po przejściowym kryzysie atmosfera w sekcji piłki nożnej poprawiła się. Jest nadzieja, że gwardziści utrzymają się w III lidze. Szkoda jednak, że tylko taki cel przyswieca dziś następcom Okońskiego.

JERZY RAUBE



Ruszyła produkcja dachówek

Seeger. Warto zapamiętać tę nazwę przedsiębiorstwa zagranicznego, które w ubiegłym tygodniu rozpoczęło działalność gospodarczą w Lebieńcu, gmina Wiko. Wszystko wskazuje na to, że wśród 700 tego typu jednostek w Polsce. Seeger znajduje się na czele z największym kapitałem własnym. Kosztom ponad 4 mln marek zachodniemieckich i prawie 34 mln zł przedsięwzięcie uruchomiło produkcję tak poszukiwanych dachówek, a w niedalekiej przyszłości zajmie się stolarką budowlaną. Co 3 sekundy z taśmy produkcyjnej sprowadzonej z RFN schodzi jedna dachówka. Dzień i pół wystarczy na pokrycie 1 m² dachu, którego koszt wyniesie ok. 1800 zł. Seeger będzie produkował rozmaite dachówki w sześciu kolorach.

Przebiecia wstęgi w nowym zakładzie dokonano w obecności I sekretarza KW PZPR w Słupsku, Zygmunta Czarzastego i wojewody, Czesława Przewoźnika. Obecny był także — oby na szczęście — wiceminister sprawiedliwości, Jan Brol. (JD)

Fot. IRENEUSZ WOJTKIEWICZ

pocztą
redakcji

W sprawie „Łososa”

W nawiązaniu do artykułu red. J. Duchnowicza pt.: „Spekulanci” opublikowanego w tygodniku „Zbliżenia” nr 47 z dnia 19.11.1987 r. informuję, że szef WUSW w Słupsku z dużą uwagą odnosi się do tej publikacji i w pełni podziela poglądy autora, że organa ścigania powinny być w szczególnie wrażliwe na naruszenie prawa niezależnie od tego kto jest sprawcą czynu przestępczego — efektem jest przedmiotowa sprawa w Spółdzielni „ŁOSOS”.

W wywiadzie szefa WUSW cytowanym w treści artykułu, wypowiedź odnosiła się do zarzutu przedstawionego niektórym pracownikom Spółdzielni „ŁOSOS” o narażenie przedsiębiorstwa „BALTONA” na straty wynikłe — jak ustalono z działalności kierownictwa Spółdzielni „ŁOSOS” w Ustce.

Odnosząc się do rzekomych faktów zakupu artykułów przez funkcjonariuszy informuję, że po uzyskaniu informacji, że w czasie rozpoczętej w dniu 09.11.11. br. rozprawy niektórzy oskarżeni i świadkowie wymieniali wśród osób kupujących również funkcjonariuszy. Szef WUSW zwrócił się z prośbą (w dniu 12.11. br. l.dz. A-1132/87) do Prezesa Sądu o poinformowanie o szczegółach zeznań oskarżonych i świadków w tej sprawie.

Jednocześnie informuję, że kupujący od Spółdzielni „ŁOSOS” produkty nielegalnie wprowadzone z „BALTONY” przez tę Spółdzielnię, nie naruszyli prawa karnego — inaczej rozumując winni być objęci toczącym się postępowaniem przygotowawczym.

Rzecznik prasowy szefa WUSW w Słupsku kpt. ST. PASZKIEWICZ

Jeszcze o słupskim ZBoWiD

Przeczytałem list p. Stanisława Szroedera o potraktowaniu go w Słupsku przez ZBoWiD.

OKRĘT TO NIE OKRĘG...

„Rozpocznie wkrótce pracę Rada Okręgowa, z uprawnieniami komisji egzaminacyjnej” — przeczytały nasi Czytelnicy w raporcie „Co ludzi gna na morze?”, zamieszczonym w poprzednim numerze „Zbliżenia”. Informujemy uprzejmie, że przeinaczenie obciąża konto korekty, gdyż autor pisał wyraźnie o Radzie Okręgowej. Różnica niby niewielka, ale bardzo istotna. Za błąd przepraszamy Czytelników.

ROZRYWKA

CZY JESTEŚ SPOSTRZEGAWCZĄ?

Przyjrzyj się uważnie rysunkowi i spróbuj odnaleźć różnice. Rysunek wytnij, podpisz, pomaluj dowolnymi kolorami i przyslij w terminie tygodniowym pod adres: Redakcja tygodnika „Zbliżenia”, al. Sienkiewicza 20, 76-200 Słupsk. Na kopercie koniecznie zaznaczyć: Rozrywka dla dzieci!

Czekają na was dwie nagrody — niespodzianki.

Za rozwiązanie zagadki z nr 47 tygodnika nagrody wylosowali Joasia Pocię, ul. H. Sawickiej 1/10 76-200 Słupsk oraz Przemek Kaczmarek ul. Chopina 38/5, 71-450 Szczecin.

Nagrody prześlemy pocztą. Wszystkim dzieciom dziękujemy!

Droga Redakcjo!!!

Często wysyłam „Rozrywkę dla dzieci”, lecz nigdy nie udało

Pod koniec ubiegłego roku postanowiłem pomóc koledze Damazemu Kordzie, który wywodzi się z Chojnic, a gdy był nieletnim, jego ojciec pod groźbą śmierci musiał przyjąć, wraz z całą rodziną III grupę niemiecką. Nietelnego, wg prawa polskiego — Damazego zabrali do Wehrmachtu skąd uciekł, dostał się do II Korpusu i (jako nietelnik) ukończył frontową szkołę podoficerską. Brał czynny udział w całej kampanii włoskiej, wrócił zaraz po wojnie do Gdyni z orderami brytyjskimi, i tu został zdemobilizowany. Słupsk nie chciał go przyjąć do ZBoWiD, bo popełnił zbrodnię zdrady narodu idąc do niemieckiego wojska. Mam kodeks karny — wydanie z 1946 z Dekretem

Rządowym regulującym tę sprawę i mówiącym wyraźnie, że kto został przymusowo zabrany do armii niemieckiej i uciekł, a potem walczył przeciw Rzeszy, nie podlega żadnej karze. A więc można powiedzieć, że nie ma przestępstwa lub jest niebyłe. Pojechalismy razem do biura ZBoWiD. Przyjął nas starszy pan, tegawy, z wąsikami a la Waldorff z dwoma pomocnikami. Z miejsca potraktował nas jakbyśmy przyjechali wyrzucić go z posady. Krzychał o zdradach itp. Pokazałem mu kodeks z dekretem, to go mi rzucił, że jego żadne kodeksy ani prawa państwowe nie obchodzą, bo on ma swoje przepisy. Rzucił mi — gdzie byłem 40 lat temu, bo mu wspominałem, że jako nietelnik w Warszawie byłem łącznikiem organizacyjnym i jak tę sprawę mógłbym załatwić. Nie dał sobie wytyłmaczyć sprawy o co nam właściwie chodzi i po co przyjechalismy. To było wybitnie chamskie potraktowanie petenta.

Gdybym wiedział, to czterdzieści lat temu udałbym się do Adolfa Hitlera i poprosił o zaświadczenie z pieczęcią, że jestem jego osobistym urogiem, nie będzie mi to potrzebne po czterdziestu latach do przedłożenia urzędnikowi ZBoWiD w Słupsku.

Tym gniazdem koniecznie trzeba się zająć. Dodaję, że mi mo wszystko mojemu koledze Damazemu Kordzie musieli jednak wystawić legitymację kombatanta i przyjąć na członka związku. Jestem pewien, że list pana Szroedera poruszył kamyk, czek który może spowodować lawinę zmian tak potrzebnych w okresie uzdrawiania „urzędnictwa polskiego”.

Z poważaniem
MARIAN DANKOWSKI

mi się otrzymać nagrody. Ten kącik podoba mi się bardzo gdyż jest w każdym „Zbliżeniu”. Pierwszy raz zobaczyłem „rozrywkę” rok temu, może wcześniej, lecz zawsze podobala mi się bardzo. Zawsze staram się zabrać „Zbliżenia” siostrze, gdy próbuje je drzeć, gdyż ma 4,5 roku. Chciałabym zadać państwu jedno pytanie. Czy uciążliwa jest taka praca w redakcji? Jeżeli można prosić to proszę o odpowiedź. Serdecznie pozdrawiam wszystkich pracowników Redakcji.

JOANNA POCIEJ

Od redakcji:

Tym razem dopisało ci szczęście przy losowaniu nagród. Dziękujemy za list i zapraszamy do redakcji, gdzie będziesz mogła zobaczyć jak wygląda nasza praca.



NR 49 (408) ZBLIŽENIA 11



Kocia zemsta

W dniu, w którym miało dokonać się zabójstwo, Mac Costa wypłynął jachtem nieco dalej na Atlantyk, niż czynił to w poprzednie, urlopowe dni. Jego żona Lilli wyglądała niezwykle apetycznie w żółtym bikini z opaloną na brąz skórą. Każdy mężczyzna, który by ją zobaczył, zazdrościłby Mac Costie takiej żony.

Był czas kiedy Mac Costa sam wierzył, że spotkało go szczęście, ponieważ Lilli była nie tylko piękna, lecz również bogata. Że kocha koty i ma ich w swej willi aż siedem, również mu przed ślubem nie przeszkadzało. Miał nadzieję, że ją od tego odzwyczai.

Koty były jednak silniejsze. Lilli była do nich, jeśli tak można powiedzieć, bałwochwalczą przywiązaną. Jeśli tylko Mac Costa odważył się powiedzieć cokolwiek przeciwko nim, Lilli odpowiadała:

— Koty są stworzeniami świętymi. Już starożytni Egipcjanie zaliczyli je w poczet bogów. Raczej się z tobą rozwiodę niż pozwolę, aby któremukolwiek z kotów spadł jeden włos z łebka.

Okazało się wkrótce, że wyszła za niego za mąż głównie dlatego, że potrzebowała pielęgniarza dla swych angielskich kociaków. Mac Costa musiał siedem tych zwierzątek codziennie szczotkować, karmić, głaskać i obchodzić się z nimi delikatnie. Naturalnie koty wyjeżdżały zawsze z nim na urlop tak, że Mac Costa nie miał nigdy odpoczynku.

Istniał tylko jeden sposób pozbycia się Lilli i jej strasznych zwierzątek oraz zdżuczenia jej majątku: utopić ich.

Przyszło mu jednak do głowy, że osiem trupów naraz może wydać się podejrzanym. Nie da się tak łatwo nabrać na wypadek, w którym ginie osiem istot. A więc najpierw Lilli, z kotami poradzi sobie potem.

— Zatrzymaj się, chciałyby ci popływać — rozkazała Lilli.

Jimmy zatrzymał posłusznie silnik jachtu.

— Czy nie uważasz, że woda jest zbyt zimna? — zapytał.

Równocześnie był pewien, że Lilli, jak zwykle, zrobi in-

ziej niż jej radzi. Zawsze na przekór jemu. I tym razem, nie zważając na to co mówił, skoczyła do wody. Zanim wypłynęła Jimmy włączył silnik i odpłynął. W pewnej odległości zaczął okrążyć Lilli, która właśnie wypłynęła z wody i coś do niego krzyczała, czego nie rozumiał lub udawał, że nie rozumie.

Cierpliwie czekał, aż Lilli straci siły. Jej głos stychał było coraz słabiej. Usiłowała jeszcze podплыć do jachtu, ale Jimmy zmienił w tym samym momencie kurs tak, że odległość między Lilli i jachtem nie zmniejszała się. Po około czterdziestu minutach Lilli straciła siły zupełnie i poszła pod wodę.

Dla ostrożności obserwował jeszcze przez dziesięć minut miejsce, w którym zniknęła głowa Lilli. Po pewnym czasie zauważył łódź zbliżającą się do jego jachtu. Wyrzucił wówczas koło ratunkowe, wskoczył do wody i zaczął wzywać ratunku, dopóki ludzie z nadpływającej łodzi nie wywołili go. Udawał całkowicie wyczerpanego, mamrotał coś o podejmowanej akcji ratunkowej, a następnie „stracił” przytomność.

Zabrano go wraz z siedmioma kotami, które naturalnie były na jachcie.

Przesłuchanie na policji poszło zupełnie gładko, ponieważ Lilli była znana ze swych ekstrawaganckich pomysłów. Ponadto biedny wdowiec wyglądał wśród siedmiu kotów naiwnie i niewinnie.

Kiedy było już po wszystkim zabrał te przekłete koty do willi i postanowił pomału pozbierać się ich. Któregoś dnia jednak zjawił się adwokat Lilli. Ma on, powiedział, smutny obowiązek odtworzyć testament i odczytać ostatnią wolę zmarłej. Dokument rozpoczął się słowami:

— „Cały mój majątek wraz z willą zapisuję mojemu ukochanemu kotom...”

Tym razem Mac Costa był bliski prawdziwego omdlenia. Adwokat nie zwracał na niego uwagi i czytał dalej:

„... Mój małżonek otrzyma od mego adwokata, którego czynię niniejszym wykonawcą mej ostatniej woli, prawo do zamieszkania w mej willi i miesięczną pensję pod warunkiem jednak, że będzie dbał o moje koty. Gdyby którykolwiek kot zdechł lub zginął, siódma część majątku przechodzi na schronisko dla zwierząt w naszej gminie...”

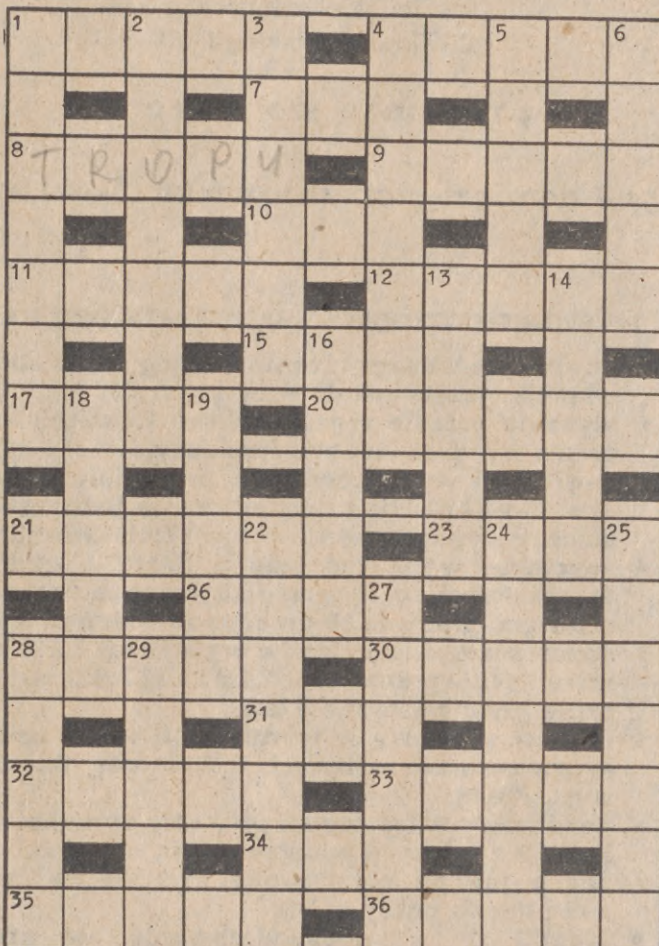
Kiedy adwokat spojrzał na Mac Costę zobaczył białego jak ścianę, trzęsącego się człowieka. Costa był u kresu swych sił.

— To znaczy — wyjąkał bezradnie.

— Według brzmienia testamentu, który panu odczytałem znaczy to, że będzie pan otrzymywał pieniądze i może mieszkać w willi tak długo, jak długo żyć będą koty pani Lilli Costa i jak długo pan będzie o nie dbał.

PRESSPOL

Redaguje Słupski Klub Szaradzystów przy WDK



POZIOMO: — 1) dolna powierzchnia stropu; 4) wymarły ptak nielotny; 7) środek kosmetyczny; 8) odciski nóg zwierzęcy na ziemi lub śniegu; 9) poeta anglo-amerykański, dramaturg i krytyk literacki (1888—1965); 10) pierwiastek chemiczny; 11) „kaloryfer” pelisy; 12) stolica Jordanii; 15) lewy dopływ Wisły; 17) w stadzie małżeńskim; 20) zwierzota imię męskie; 21) mazgaj; 23) numer ciężarowy włókna, przędzy; 26) Pugaczowa; 28) naturalna rozpadlina w masywie skalnym; 30) odpocznik dla koni na trasie; 31) autor „Bezrobotnego Lucyfera”; 32) Dorpat — obecnie; 33) powstają w wyniku reakcji kwasu z alkoholem; 34) szpile kostny; 35) godło górnicze; 36) klamra do spinania pękających murów.

PIONOWO: — 1) małe postacie ludzkie lub zwierzęce ożywające kompozycje krajobrazowe; 2) przód budynku; 3) trąszka; 4) duża afrykańska małpa wąskonosą; 5) niechęć, wstręt; 6) mocz, człowiek wielkiego ducha; 13) francuski malarz i grafik (1832-83); 14) dokument określający własności produktu; 16) sama doskonałość; 18) łowienie żywcem zwierzęcy leśnej, ptaków; 19) lasso; 22) miasto w Ukrainie, nad Horyniem; 24) człowiek wybuchowy; 25) element dekoracyjny w architekturze renesansowej i barokowej; 27) z lekami na półkach; 28) przedmiot starożytny; 29) pierwiastek chemiczny z... naszego kontynentu.

BUK

Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji tygodnika „ZBIŻE-NIA”, ul. Sienkiewicza 20, 76-200 Słupsk — z dopiskiem „KRZY-ZÓWKA NR 48” — terminie jednego tygodnia. Do rozlosowania wśród Czytelników nadsyłających poprawne odpowiedzi: premiowy bon oszczędnościowy PKO wartości 250 złotych.

Rozwiązanie krzyżówki nr 48:

Poziomo: — klasa, Omsk, futro, Aza, matematyk, profan, Una, ABBA, Tatar, sauna, tama, posilek, Isla, umowa, karaka, San.
Pionowo: — kompas, autobus, Stefania, armata, Matuta, szyna, farba, anatema, Karajan, mewa, pik, osa, tuk, Kos.

NAGRODA

Nagrodę w postaci premiowego bonu oszczędnościowego PKO — za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 45 — wylosowała BOGUMILA OSZEWIONKO, ul. Kaliska 7, m. 19, 78-100 Kołobrzeg.



Przypuszczalne przygody na „Przy — Puszcz”

Przeczytałam sobie właśnie w „Przeglądzie Tygodniowym” nr 41 str. 16, że na

osiedlu „P” w K. żyje sobie: 10 narkomanów, 37 rodzin patologicznych, 70 rodzin wielodzietnych, 82 rodziny niepełne, 110 dzieci specjalnej troski oraz 1500 emerytów i rencistów.

No cóż, może to i „normalka”, ale taki mi się na tym tile ułożył

MINI — SCENARIUSZ do filmu w TV

Jesień. Zmierzch już zapadł. Przez ciemne uliczki osiedla „na Przypuszczu” wędrują dzieci z „drugiej zmiany”. Wielodzietni liczą je w domu, sprawdzając czy się które nie zawieruszyło. Patologiczni płyną po sinusoidzie do najbliższej meliny. Dzieci specjalnej troski w ciemnych zaulkach, podstawiają nogi spóźnionym emerytom. Zgodnie narkomani wyrwywają staruszkom torebki z emeryturą, by się zaopatrzyć w „kompot”... słowem wszyst-

ko jest normalnie, aż tu nagle...

Na ciemnym niebie ukazują się pulsujące barwnymi światłami NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT LATAJĄCY!!!... i ląduje w samym środku osiedla „Przypuszczu”!

Z OBIEKTU wysiadają Mali Zieloni celem przeprowadzenia badań naukowych. Tłum mieszkańców o-tacza OBIEKT. Patologiczni oraz Dzieci Specjalnej Troski udzierają się do środka, aby tam sobie porozrabiać. Na skutek tego rozrabiania następuje: OKROPNY HUK!!!... i Obiekt rozpada się na 100 kawałków burząc bloki osiedla „Przypuszczu”.

PRZERYWNIK MUZYCZNY

(muzyka Krzysztofa Pendereckiego)

Wiosna. Słoneczko świeci. W sąsiadującej z osiedlem „Przypuszczu” puszczy, puszcza się zielona trawka i młodociana narkomanka. Słowik klaszka. Mali Zieloni, przy pomocy chytrych lis-ków, zakładają przedsiębiorstwo „PUSZCZA” z kapitałem zagranicznym, eksploatując miejscowe zasoby runa leśnego oraz co zławszych emerytów i rencistów. Na gruzach bloków osiedla „Przypuszczu” wśród bał, przylaszczek i pierwiosnków kiełkują nowe życie. Wielodzietni oraz ocalali Patologiczni pładzą kolejne Dzieci Specjalnej Troski.

MUZYKA CHOPINA KONIEC

Ach nie! Końca nie ma! (należy przypuszczać...)

ALINA

HOROSKOP

★BARAN (ur. 21 III — 20 IV) W miejscu pracy nastąpią zapowiadane przetasowania. Najlepiej postąpić nie angażując się i nie wtrącając do podejmowanych decyzji, bowiem tylko wtedy — w walce o stołki — skorzystasz z zasady „gdzie dwóch się bije...” Sprawy osobiste teraz musisz traktować mniej emocjonalnie. Chłodne spojrzenie na twój związek uczuciowy pomoże ci dojrzeć i pluse i minusy, a Wenus dopomoże wyniszczyć wnioski.

★BYK (ur. 21 IV — 20 V) Sytuacja staje się trochę niebezpieczna, bowiem to, co traktujesz wyłącznie jako przyjemność, odszkodnie od codzienności zaczyna nabierać innego znaczenia. Rozważ, czy możesz brnąć jeszcze dalej? Zbyt wiele masz przecież do stracenia... Zadbaj, by nie urazić ani słowem, ani czynem związanej bardzo blisko z tobą osoby. Wkrótce bowiem jej pomoc okaże się niezbędna i niezapłacona.

★BLIŹNIĘTA (ur. 21 V — 21 VI) Przypnij, że odstąpienie od wyznawanych przez ciebie nieżyjących zasad dało oczekiwane rezultaty. I ludzie są bardziej życzliwi, i problemy są znacznie prostsze... Gdyby jeszcze udało się coś zmienić w życiu osobistym — to też zależy od ciebie.

Zajmij się troskliwie partnerem, bo przecież oczekuje czegoś od życia i od... ciebie!

★RAK (ur. 22 VI — 22 VII) Niedługo staniesz wobec trudnej alternatywy: wielkie ryzyko, ale też korzyści warte grzechu, lub gnuśna stabilizacja, w której się dusisz. Jowisz będzie korzystnie sterować twoim postępowaniem, ale wiele zależeć będzie od zdecydowania i bezkompromisowego dążenia do celu. Ważne, by przewidzieć rozwój wydarzeń i uprzedzić posunięcia konkurencji.

★LEW (ur. 23 VII — 23 VIII) Niewiele będą cię w tym tygodniu obchodzić zwikłane układy i problemy zawodowe — co, niestety, odbija się na kieszeni! Nic to jednak, wobec przeżyć emocjonalnych, jakie czekają cię w najmniej spodziewanej sytuacji. Zakochasz się! I choć ten związek uczuciowy nie będzie miał szans przetrwania, przeżyjesz piękne chwile, a wspomnienia przetrwają długie lata. Nie wzbraniaj się przed miłością!

★PANNA (ur. 24 VIII — 23 IX) Twoje żale o niespełnione nadzieje wszyscy znają już na pamięć i choć ci skwapliwie przytakuja, w rzeczywistości uważają, że masz, na co zasługujesz. Nie obnoś dłużej swoich pretensji, bo to nikogo nie obchodzi! Nowe



proponuje pozwolą ci zre-kompensować straty, ale nie stawiaj nader wygórowanych warunków. W domu nie unikniesz wymówek z powodu nieobecności, których nie umiesz z sensem usprawiedliwić.

★WAGA (ur. 24 IX — 22 X) Tydzień bardzo pracowity. Pochłoną cię sprawy zawodowe, które wprawdzie dają ci sporo satysfakcji, ale przecież twoje serce zatęskni do kogoś bliskiego... Jeśli ktoś taki jest — daj mu znak, jeśli zaś nie — daj szansę losowi, sprowokuj go! Pod koniec tygodnia wzmocni się twoja pozycja materialna, ale zdrowie może ci splotać przykre-go figla.

★SKORPION (ur. 23 X — 22 XI) Od kilku dni dręczy cię stres. Najgorsze w tym, że nie próbujesz go przełamać, chodzisz z kąta w kąt, narzekasz na świat i ludzi, a wystarczyłyby trochę energicznych działań, aby odwrócić tę niekorzystną passę. Przystań się mazać, inni mają gorzej i nie załamują rąk. Humor poprawi ci wprawdzie wiadomość o pomyślnym załatwieniu ważnej sprawy, ale to wszystko nie to...

★STRZELEC (ur. 23 XI — 21 XII) Tydzień gnuśny, nie szczególnego się nie wydarzy, chyba że sprowokujesz los... Jeśli tak — spodziewaj się, że wszystko, co teraz zrobisz, będzie miało daleko idące konsekwencje. Nie działaj więc bez rozeznania sytuacji i poznania ludzi. Tylko w ten sposób unikniesz kłopotów

osobistych i finansowych. Chyba że lubisz powalczyć...

★KOZIOROŻEC (ur. 22 XII — 20 I) Tak sobie poukładaj sprawy rodzinne i osobiste, aby skupić energię i intelekt na zadaniach profesjonalnych, bo zwierzętny wiąże z twoją osobą duże nadzieje. Jeśli spełnisz te oczekiwania, spodziewaj się sporego awansu, przede wszystkim materialnego. Jesienne niepogody rozbudzą w tobie tęsknotę za minionym, ale nie poddawaj się melancholii — było, minęło, nie wróci!

★WODNIK (ur. 21 I — 20 II) Oj, chyba źle się bawisz. Balansujesz na zbyt cienkiej linie, a cyrkowiec z ciebie raczej kiepski! Jeśli chcesz ryzykować, ale tylko w własnym imieniu, nie wciągaj w tę niebezpieczną grę innych, mając ich niebywałymi korzyściami. Przemyśl wszystko raz jeszcze od początku, w każdym szczególe i dopiero pewność niech będzie legitymacją do dalszego działania. Układy uczuciowe — zawiłane.

★RYBY (ur. 21 II — 20 III) Zaniedbałeś cię finansowa kondycja, bo mimo iż pieniądze masz więcej, ale przepływają w sposób nie kontrolowany i w efekcie brakuje ci na najbardziej niezbędne rzeczy. Więcej dyscypliny w tym względzie! Ktoś przejawiający niezwykłe zainteresowanie tobą, znowu zacznie cię niepokoić. Zdecyduj — albo odważaj się na zabieg, albo odważaj się na powiedzenie nie! Najlepsze są jasne sytuacje.